



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80  
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

## POGA WĘDKA.

Dziesięć dni temu odbyłem jedną z najbardziej uroczych wycieczek w okolicę tak malowniczą, że gdybym ją zaczął opisywać i powiedział: „zgadnijcie, gdzie to było?”—jestem przekonany, iż wymienilibyście mi Szwajcaryą, Ren, Turynię, Dunaj, Styryę, Alpy, Włochy, Szwecyę i Norwegię, lub jaką inną część zagranicznej Europy, a nikomu zapewne nie przyszłoby na myśl, iż rzeka, po której płynąłem wśród szmaragdowych lasów, urwistych brzegów i zielonych łąk, nazywa się po prostu Pilicą, i że ta droga kręta jak wąż połyskujący w słońcu różnobarwną skórą, prowadziła mnie do Inowłodza.

Tak, niestety, na przekór wszystkim Baedekerom i Meyerom, sławiącym w swych „Przewodnikach” pod gwiazdką widoki godne podziwu na obczyźnie, powiedzieć muszę, iż mamy tu u siebie okolice i krajobrazy tak piękne, że w niczem nie ustępują tamtym, reklamowanym głośno, rozpowszechnianym w osobnych albumach, fotografiach i ilustracjach, zalecanym całemu światu, a obowiązkowo wszystkim podróżnym, odbywającym letnie wycieczki zagranicę.

Tak dawno, tak dawno temu wołał już Brodziński: „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie!...” a ten wyrzut dziś jeszcze powtarzać sobie możemy, i to z tem większym wstydem, iż od jego czasów tyle lat minęło i tyle przybyło środków ułatwiających zapoznanie się z własną naturą i z całym krajem, po którym nie trzeba już, jak ongi, podróżować pieszo lub rzemiennym dyszlem, jeśli się jest chciwym wrażeń turystą.

Przyznaję, się, że sam z powmem niedowierzaniem wybrałem się w owe strony „na prowincyi” spodziewając się znaleźć trochę lasku, trochę piasku, trochę wody na szerokiej płaszczyźnie, na której jakby dla kaprysu natura stworzyła jakąś małą oazę i tą niespodzianką kazała się cieszyć mieszczuchom szukającym willegiatury.

O Inowłodzu dowiedziałem się prawie przypadkiem z rycin „Tygodnika ilustrowanego” i artykułu Dra Markiewicza, który tę miejscowość nazwał perłą, godną złotej oprawy i jako stacyą klimatyczną gorąco ją polecił czytelnikom i kolegom swoim w zawodzie lekarskim.

Od pięciu czy sześciu lat wprawdzie ściągali tam już gromadki letników z Łodzi, Piotrkowa, Tomaszowa Rawskiego, przeważnie, jako z najbliższego tej miejscowości sąsiedztwa, ale Warszawa nie była tam licznie reprezentowaną, nie wiedziało się przeto, co zacz ten Inowłódz nad Pilicą, schowany gdzieś wśród odwiecznych sosnowych borów.

Przypadek zdarzył, że chcąc choć pod koniec lata odetchnąć świeższem nieco powietrzem, a dużo czasu nie tracić, dałem się skusić na wycieczkę w nieznana okolicę, i z tego właśnie powodu z falami Pilicy puściłem się łodzią w miłym towarzystwie od Tomaszowa w dół z biegiem rzeki.

Było nas pięciu: dwóch poważnych lekarzy, jeden adwokat, jeden przemysłowiec i ja; byliśmy poprostu zachwyceni tem wszystkim, co się nam przed oczyma roztaczało w cudownej panoramie, zmieniającej, jak w kalejdoskopie, malownicze widoki.

Rozmawiając o celu naszej wycieczki, wpadliśmy na temat naszych zdrojowisk i uzdrowisk krajowych, którym „Kuryer Warszawski” tego lata poświęcił szereg zajmujących felietonów pisanych przez Czesława Jankowskiego z obserwacyi zbieranych naocznie przez autora.

Jeden z eskulapów, szlachetny entuzjasta, w gorących słowach przekonywał nas, że należy popierać wszystkie krajowe zakłady lecznicze, kąpiele, zdrojowiska i stacje klimatyczne, aby, o ile możliwości, odciągnąć ludzi od kosztownych i bezcelowych często wyjazdów zagranicę a przysparzać swoim pacjentów i gości; drugi z lekko sarkastycznym humorem stawiał zarzuty i robił zastrzeżenia.

— Mój kochany—mówił do kolegi—co tu się dziwić, że chory za swoje pieniądze chce mieć dobrą i staranną opiekę, dobre pożywienie, czystość wygodne pomieszczenie a przytem i możliwą rozrywkę przy kuracyi!.. On za to płaci, to mu się należy, we własnym zaś interesie pragnie, aby go to jaknajtaniej kosztowało, i nie wytlómaczysz mu tego żadną perswazyą, aby za swoje pieniądze nie szukał zdrowia tam, gdzie mu go taniej, łatwiej, przyjemniej dostarczają, i nie wyjeżdżał zagranicę, tylko do wód lub kąpeli krajowych, dlatego że to jest jego obowiązkiem je popierać. On ci na to odpowie, że wzamian obowiązkiem wód krajowych i zakładów leczniczych, jest dbać tak samo o niego, o jego zdrowie i jego kieszeń, o to, żeby mógł spać na wygodnych materacach, jeść z dobrej i pożywej kuchni, mieć obsługę w każdej chwili gotową i staranną, aby nie potrzebował się irytować na nieporządki, a zwłaszcza nie musiał za gorsze warunki płacić drożej swoim, niż płaci obcym zagranicą.

Ze ten pogląd po większej części przeważa, przekonano się nie po raz pierwszy i w roku bieżącym: prawie wszędzie dał się uczuć w ubiegłym sezonie kąpielowym ubytek, nawet znaczny kuracyuszów i wszyscy niemal lekarze w miejscowościach i zakładach leczniczych skarżą się na zły rok.

Dwie przyczyny złożyły się na ten skutek: fatalna pogoda i wysoki kurs rubla. Podczas kiedy w takich np. Sobotach roilo się od Królewaków, w Ciechocinku znacznie mniej naliczono



przybyłych gości, niż w roku zeszłym; kto mógł, pakował manatki i umykał za granicę, w przekonaniu, że mu taniej ta wyprawa wypadnie, nawet z doliczeniem kosztów podróży.

Eskulap entuzjasta nie dał się pobić i tym argumentem, że w urządzeniu naszych zdrojowisk i uzdrowisk dużo jest jeszcze braków i wad.

— Należy to wytykać, radzić, wskazywać, nie patrzeć przez palce, ale prawdę pisać i pobłażliwością złego nie ochraniać; panowie powinniście tę kontrolę wziąć na siebie i spełniać ją sumiennie, ale surowo i bezwzględnie — mówił do mnie jako do przedstawiciela prassy. — Można i trzeba reklamować, lecz nawoływać do zmian na lepsze, wskazując wszystkie wady i braki, wszystkie strony ujemne.

— Tak, to-byś oddał niedźwiedzią przysługę swojej sprawie — przerwał mu kolega — bo jeszcze bardziej zniechęciłbyś publiczność, odstręczył chorych taką publiczną prawdomównością, wyciągając wszystko złe w naszych wodach i *badach* na wierzch.

— Więc cóż zrobić, jak zaradzić?..

Pozwoliłem sobie w tej kwestyi głos zabrac i wyraziłem zdanie, że takie wciubstwo dziennikarskie, taka kontrola prassy nie na wieleby się może przydała, a byłaby środkiem ryzykownym, gdyż powiększyłaby tylko uprzedzenia i nieufność do swojskich zakładów i stacyi leczniczych; nasz ogół łatwiej czepia się ujemnych stron i argumentów *przeciw* czemuś, niż *za* czemś, wnioskuje krańcowo i gotów w potępiać, dla małego przewinienia, nawet duże zasługi i pożytki. Z tem przeto publicznym wytykaniem błędów i braków trzeba być niekiedy bardzo ostrożnym, a w tym wypadku więcej, niż w wielu innych; jednakowoż rada znalazłaby się na pogodzenie wszystkiego. Mamy przecież poważną instytucyę, jaką jest Towarzystwo Lekarskie niechby ono utworzyło komisyę balneologiczną, któraby zbadała stan naszych zdrojowisk i uzdrowisk, otoczyła je swoją stałą opieką, wygotowywała memoryały co roku, sprawozdania i wnioski odpowiednie, przesyłała je zarządowi miejsc kąpielowych i z powagą najwłaściwszego sądu krytykowała złe, nawołując do reform, bez mieszania w tę sprawę specjalną zbyt szerokiego ogółu.

Mamy organa wyłącznie lekarskie w prassie: niech one żywiej tą sprawą się zajmą i staną niejako na straży balneologii krajowej, — my zaś, reszta dziennikarstwa, pozostawimy sobie miły obowiązek rozgłaszania dodatnich tylko zmian i faktów, któreby się przyczynić mogły do większego zainteresowania się publiczności naszymi zdrojowiskami i t. p.

Nie zaszkodziłoby również, gdybyśmy się zdo- byli kiedy na wystawę balneologiczną i zebrali dokładny, zbiorowy obraz wszystkich naszych zdrojowisk i uzdrowisk, z chemiczną analizą wód mineralnych, z widokami danych miejscowości, zakładów, urzędzeń, ze statystyką odpowiednią, nawet z historią szczególniejszych uzdrowień, któreby wykazały leczniczą działalność zastosowywanych środków i warunków kuracyi w takim Nałęczowie, Ciechocinku, Busku Nowem Mieście i t. d.

Mówiliśmy w tym przedmiocie dużo i długo jeszcze, poruszając wiele kwestyi z tą najważniejszą w związku będących i doszliśmy na końcu do tego przekonania smutnego, że jak to najczęściej u nas się zdarza, nie rozumiemy dobrze naszych własnych interesów.

Inicyatywy i kapitałów brak nam zawsze wtedy, gdy byłoby do zrobienia coś pożytecznego i korzystnego.

Przypominają mi się np. wymowne głosy specjalistów takich, jak DDr. Dobrzycki i Heryng, którzy tego roku z katedry prelegencyjnej a niejednokrotnie w artykułach i rozprawach drukowanych, poruszali jedną z najważniejszych spraw zdrowotnych, wykazywali straszne skutki choroby dziesiątkującej ludzką, a przedewszystkiem nasze społeczeństwo, wskazywali gwałtowną potrzebę urządzania sanatoryjów dla najczęściejliwych suchotników, dowodzili potrzeby zajęcia się gorliwiej ich losem i reformą w dotychczasowym sposobie leczenia szpitalnego etc. etc.

Było to w chwili, gdy wynalazek Kocha zaalarmował całą Europę; opinia publiczna zwróciła też baczniejszą uwagę na kwestyę, która stanowiła niejako aktualność.

Ale od tego czasu minęło zaledwie kilka miesięcy a jednak sprawa tak doniosłego znaczenia przebrzmiała i o stawianiu baraków dla suchotników, o urządzeniu leśnych stacyi klimatycznych dla chorych piersiowych przestano mówić.

My tak zawszel..

Kiedym po wspaniałych lasach inowłodzkich nad Pilicą chodził wśród masztowych sosen, w istnym labiryncie starodrzewia, oddychając balsamiczną wonią powietrza, któreby nam mieszczuchom w balonach sprzedawać można na lekarstwo kiedym słuchał opinii lekarzy, zwiedzających wraz ze mną tę miejscowość, przez samą naturę jakby stworzoną na stacyę klimatyczną — przypominały mi się nawoływania Drów Dobrzyckiego i Herynga — nawoływania, ginące bez echa w społeczeństwie, które nie umie najważniejszej dla siebie sprawy, bo sprawy zdrowia, traktować z należytem przejęciem.

Inowłódz dzisiaj jest willegiaturą dla letników którzy tu mają kilka willi, zbudowanych wygodnie, nawet wystawnie, na wyniosłym brzegu Pilicy, tuż u skraju iglastego boru, ciągnącego się na milowych obszarach; mają wyborną kąpiel rzeczną pod samym progiem, kilka źródeł wody żelazistej i magnezowej, powietrzny ocean *à discretion*, prześliczne zewsząd widoki, suchy, piaszczysty grunt pod nogami, nawet po najulewniejszych deszczach, i te możliwe na miejscu wygody, jakie dają letnie mieszkania z pewną dbałością o przygodnych lokatorów urządzone; ale czyż to nie szkoda takich świetnych, wyjątkowych warunków klimatycznych i gruntowych?... czyżby tu właśnie nie powinno stanąć takie sanatorium dla suchotników lub zakład dyetetyczny dla niedokrwestych, albo wodoleczniczy dla nerwowych?..

Prawie wszystko jest ku temu przygotowane; wille wybudowane przez dzisiejszego właściciela pomieścić mogą kilkadziesiąt rodzin w widnych i przestronnych pokojach, mury i komin były, dzisiaj spalanej fabryki żelaza, mogłyby posłużyć na urządzenie leczniczego zakładu; źródła mineralne, rozbierane nawet ongi chemicznie, dostarczają marnowanej bezużytecznie wody, spływającej do Pilicy: potrzebaby niewielkiego nawet kapitału i energicznego specjalisty, aby z Inowłodza zrobić pierwszorzędną stacyę klimatyczną leśną i uzdrowisko rzadkie przez swe przyrodzone warunki.

Ale czy się znajdzie taki fundusz i taki człowiek?

Sprowadzić tu praktycznego Niemca lub sprytnego Francuza, a zrobi majątek i nada rozgłos w ciągu lat kilku; naszym Winternitzom, Kraft-Ebingom i Charcot'om nie łatwo się rozruszać.

Dzisiaj lekarką główną w takim Inowłodzu jest sama przyroda, która bez żadnego honorarium leczy anemiczne pacjentki i gruźliczne dzieci; widziałem na własne oczy taki okaz chłopaka, skazanego przez *consilium* na tamtem świat, którego samo powietrze i mleko zdrowiło tu tak, że w ciągu trzech miesięcy odrodził się zupełnie i będzie żył teraz na przekór medycynie.

Ma wszelako Inowłódz wielką wadę: dotychczas odcięty jest od świata i zabity deskami; braknie mu dogodnej komunikacyi; ale i pod tym względem na przyszły rok zajdzie korzystna zmiana, gdy zaprowadzonym zostanie statek parowy na Pilicy, — i od stacyi kolejowej w Tomaszowie Rawskim dowozić będzie podróżnych aż pod sam próg gościnnych willi inowłodzkich.

Uważałem sobie za obowiązek w chwili, gdy cała rzesza wędrownego ptactwa wraca oskubana z zagranicznych „Kurortów“, zwrócić uwagę na to, iż moglibyśmy u siebie znaleźć i takie same widoki przepiękne, i lasy cieniste, i orzeźwiający kąpiele, i wille w szwajcarskim stylu, i pobyt miły i uzdrawiający na łonie własnej przyrody, gdybyśmy nie hołdowali zbyt ślepo obczyźnie umieli lepiej wyzyskiwać swe zasoby.

Ta ostatnia sztuka chyba pozostanie dla nas jeszcze bardzo długo niedostępną.

Jakby na potwierdzenie tego zdania, nasuwa mi się pod rękę kilka spraw z ostatnich dwóch tygodni; oto np. sprawozdanie z półrocznego zebrania „Merkurego“, powiada, że było na niem tylko 36 osób na blisko dwa tysiące członków, że przy sprzedaży towarów w sklepach stowarzyszenia za przeszło 109.000 rubli, zysk *brutto* wynosił 12.387 rubli a *netto* tylko 1 832 ruble i 64 kop.

Trzeba przyznać, że to proporcya tak mała, iż nie przystałyby na nią żaden najlichszy kupiec, żaden sklepikarz, żaden straganiarz, przy tak znacznym obrocie półrocznym.

Mówi się, pisze, polemizuje w tej sprawie tak dużo poza „Merkurym“, stawia za wzór stowarzyszenia spożywcze zagranicą, a nawet niektóre u nas na prowincyi lepiej prosperujące od warszawskiego, tymczasem na posiedzenia członków przychodzi 36 osób, które w milczeniu słuchają sprawozdania zarządu, zatwierdzają je bez jakichkolwiek reklamacyi i rozchodzą się spokojnie do domów, aby za pół roku zebrać się znowu w takimsamym celu, a sprawy stowarzyszenia pozostają *in statu quo ante*.

Sprawozdawca „Kuryera Codziennego“, p. Józef Włoskiewicz, przyczynę tej nieruchomości i bierności uczestników na zebraniach „Merkurego“ upatruje w tem, że składają się one z samych mężczyzn, a mężczyźni — jak słusznie powiada — chyba wyjątkowo zajmują się tak drobiazgowymi oszczędnościami i troszczą o to, gdzie kupiono za trzy grosze pieprzu lub kaszy za dziesiątkę.

„Sprawy tego rodzaju należą do pań i gospodyń, one więc tu pierwszy głos tak w radzie, jak w zarzutach mieć powinny. Dlaczego damy, które jednak stanowią bezpośrednio lub pośrednio przeważną liczbę stowarzyszonych, stronią od zebrania ogólnych i od przyjmowania udziału w kierownictwie stowarzyszeniem?.. Tego istotnie nie rozumiemy. Dopóki jednak do tego nie dojdzie, stowarzyszenie iść będzie utartemi, zresztą zupełnie racjonalnymi i uczciwymi drogami, ale o ulepszeniach, innowacyach, zajęciu i ożywieniu mowy być nie może“.

Najzupełniej podzielał powyższe zdanie i pytam szanowne damy, zwłaszcza te, które się z tak pięknym oburzeniem skarżą, że kobiety u nas mają tak ograniczoną sferę publicznego działania i do równouprawnienia ze swymi tyranami dojść nie mogą; dlaczego nie korzystają z danej sposobności okazania swego praktycznego zmysłu, assocyacyjnych zdolności, administracyjnej energii i parlamentarnych uzdolnień?..

Mam nadzieję, że na przyszłym walnem zebraniu „Merkurego“ szanowne damy zadadzą kłam pewnym wątpliwościom, które się pod tym względem budzą w najszczerzych nawet ich wielbicielach, i jako zwarta lewica doprowadzą do obalenia wyłącznie męskich rządów w rzeczonym stowarzyszeniu.

O szanownych panach mężczyznach, grzeszących brakiem powyższych zalet na innych polach swej publicznej działalności, dałoby się kilka słówek więcej powiedzieć, ale to kazanie słyszy się dość często i sposobności do powtórzenia go nie zabraknie.

W tych dniach resztką niedobitków ogrodu zoologicznego opuści nazawsze Bagatele; tymczasem z litości od głodowej śmierci słońca, małpy, jelenia, ptaki, i t. d. chroni swoim kosztem... Towarzystwo opieki nad zwierzętami.

Smutny los dla ambitnych dzieci puszczy i podzwrotnikowych krajów; żadnej małpie nie śniło się, że jej na taki żebraczy koniec się zbierze w warszawskim zwierzyńcu, którego miała być *the greatest attraction*. Dobrze, że tego lwy i tygrysy nie dożyły, bo byłyby się zapłakały ze wstydu, i upokorzenia.

Niezrażony fatalnem niepowodzeniem ogrodu zoologicznego „Przyjaciół zwierząt“ namawia bardzo przekonująco do założenia na akcyę ogrodu aklimatyzacyjnego w Warszawie, z głównym kierunkiem hodowli kur rasowych, kóz tybetańskich i angorskich, francuzkich i angorskich królików i różnej rasy psów, gołębi, kanarków, ptaków śpiewających, ryb, pszczoł, jedwabników, raków, pijawek, i t. p.



Oprócz tego w zwierzyńcu takim wystawione być winny na widok publiczny w zagrodach, woljerach, klatkach, wiwaryach i akwaryach wszelkie okazy krajowej i egzotycznej fauny. Publiczność za opłatą 10 kop. mogłaby ten zakład zwiedzać, a nadto nabywać zwierzęta rozplodowe także utrzymywane, prowadząc za jego pośrednictwem wszelkie gatunki zwierząt użytecznych, bywać na wystawach dorocznych, któreby urządzano w Lutym z ptaków śpiewających, około św. Jana psów, około św. Michała drobiu z losowaniem pewnej ich ilości.

Projekt ten wydaje się o wiele praktyczniejszym od samego ogrodu zoologicznego, jako przedsięwzięcie mogące przynieść zysk; tembardziej, że wedle obliczeń „Przyjaciela“ wymaga bardzo małego stosunkowo kapitału zakładowego na początek, bo tylko... 500 rs.

Czy przypadkiem nie opuszczono w tej liczbie co najmniej jednego zera?..

Jeżeli nie, w takim razie gotów jestem dostarczyć sam tego kapitału pod warunkiem, jeżeli wezmę drugą nagrodę na konkursie dramatycznym „Kuryera Warszawskiego“, o którym wspominałem w poprzedniej pogawędce.

Redakcja tego pisma po-europejsku się znalazła względem otwarcia sceny w przebudowanym Teatrze Wielkim, bo na uczczenie tego faktu, tudzież w celu wzbogacenia oryginalnego repertuaru wyznaczyła dwie nagrody (rs. tysiąc i rs. pięćset) za sztukę polską, współczesną, obyczajową, komedią lub dramat, byle nie historyczny albo klasyczny, na wypełnienie całego wieczoru, nigdzie nie drukowany poprzednio, nawet w wyjątkach, i odpowiadający warunkom sceny warszawskiej.

Cielem pobudzenia jaknajwięcej talentów swojskich do twórczości, nie zaproszono nikogo z autorów dramatycznych do komitetu sędziów i — dobrze zrobiono.

Jury składa się z krytyków, artystów i wykształconych literatów, znających dobrze scenę i — co najważniejsza, dających rękomię bezstronności.

Od dnia 15-go Czerwca r. p. do 16-go Września komitet ten ma się zająć odczytaniem i osądzeniem nadesłanych utworów; natychmiast po ogłoszeniu wyroku laureatom wypłacone zostaną nagrody.

W komitecie konkursowym zasiadają pp. Władysław Bogusławski, Piotr Chmielowski, Kazimierz Kaszewski, Józef Kenig, Józef Kotarbiński, Stanisław Krzemiński, Bolesław Ładnowski, Jan Tatariewicz i Bronisław Zawadzki.

Co do utworów nagrodzonych redakcja „Kuryera Warszawskiego“ zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do wejścia z autorami w układy o druk w felietonie pisma, lub o wydanie w książce.

Poza zaszczytem moralnym, który, co prawda, kolką w boku i kością w gardle daje się najczęściej ucuwać u nas wszystkim laureatom, jest to pod względem materialnym wcale dobry interes dla autorów z talentem i przedstawia ewentualny zysk kilku tysięcy rubli, o który dzisiaj wcale nie łatwo do zdobycia piórem; jest przeto nadzieja, że nasi komedyopisarze i dramaturgowie zakaszą rękawy i zaborą się do tworzenia całej gromady, bo powinni to zrobić, nietylko we własnym interesie, ale i dla głównego celu, w jakim konkurs ogłoszony został.

Oburzamy się, zżymamy, gniewamy, pomstujemy na rozpanoszenie się literackiego proletaryatu, zwłaszcza na scenie w ostatnich czasach, jednak zapominamy o jednym drobnym, ale najważniejszym fakcie, że ci „uprawnieni“ i „uznani“ autorowie dziwnie leniwieją u nas w swojej twórczości, że talenta ich całymi latami ugorują, że im się jakoś pisać nie bardzo chce i że na prawdę ten oryginalny repertuar przez cenniejsze pióra jest tak skąpo zasilany u nas, jak nigdzie.

Prawda i to, iż zachęty zbyt wiele niema do obfitszej twórczości, ale skoro się nadarza sposobność, jak ostatnia, należy przecież z niej korzystać, nie usuwać się, nie wymawiać rozmaite mi względami i względnikami, bo choćby się nawet nagrody nie wzięło, pozostanie zawsze ko-

rzyść wielka: dzieło napisane, które, jeśli tylko dobre — musi prędzej czy później opłacić się autorowi.

Samo tworzenie ze szlachetniejszych pobudek jest już w swoim rodzaju bardzo ważnym pożytkiem moralnym, bo rozwija żywotność talentu, wzmacnia siły, wiarę i doświadczenie w każdym autorze.

A zatem jeszcze raz powtarzam: „Panowie, piszmy więc!..“

Ma to także znaczyć: pracujmy więcej, twórzmy więcej, bo, niestety, w naszym zawodzie literackim, w ostatnich czasach zwłaszcza, przeważa pospolita, zwyczajna, rzemieślnicza niemal, robota z dnia na dzień, dla chleba, w pośpiechu bez wytchnienia, z obstalunku na dany termin, z tym pobieżnym charakterem rzeczy łatwo przemijających.

Literatura, w prawdziwym znaczeniu tego wyrazu, odnosi z takiej pracy mało korzyści; twórczość prawdziwie oryginalna rozwija się niedostatecznie i nieprawidłowo.

My wszyscy, jak jesteśmy, pracujemy więcej po-dziennikarsku, niż po-literacku, dla potrzeb chwili; czerpiemy więcej, niż należy, z obcego materiału, tłumaczymy, przerabiamy, streszczamy stosunkowo więcej, niż oryginalnie tworzymy. Odbija się to w naszych wydawnictwach, w naszej prassie szczególnie, w której więcej odblasków i odgłosów zzewnątrz, niż zewnątrz zauważyć się daje. Obca literatura, sztuka, polityka, życie społeczne, wypadki bieżące, nawet obce plotki i skandaliki, więcej u nas znajdują miejsca, aniżeli rzeczy rdzennie swojskie.

A czemu?... oto dlatego, że łatwiej nam korzystać z obcego materiału, które przynoszą zagraniczne dzienniki, książki i wydawnictwa, że nam się nie chce i „nie opłaca“ właśnie na wzór tych obcych dzienników, książek i wydawnictw pisać, tworzyć, studyować i informować z oryginalnych źródeł, z własnego natchnienia, z własnej obserwacji.

Przeżywamy cudzy pokarm dlatego, że go łatwiej dostać, — ale czy takie żywienie ducha i umysłu wychodzi nam na zdrowie i na pożytek?..

Zdaje mi się, że odpowiedź nie wypadnie twierdząco.

Quis.

## „PRZEKŁĘTY RÓD“

przez

Kazimierza Glińskiego.

Było to miasteczko zamieszkane przeważnie przez Żydów. Za dawnych czasów Krzyżtoforami się zwało, która-to nazwa została obecnie przy dworach i dworkach szlacheckich, rozsiadłych gęsto dokoła — miasteczko zaś samo urzędownie „Żabińcem“ się zwało. Ulice wąskie, niebrukowane, wyjeżdżone uczciwie, w porze roztopów wiosennych zmieniały się w nieprzebyte prawie kanały o brzegach wysokich, na których wznosiły się drewniane domki, wypełnione przez ludność niechlujną. O chodnikach mowy nie było. Wydeptane w ciągu lata ścieżyny znikwały w czasie słót jesiennych; zimą, ktoś ze śmiałków, przez zasypany śnieżny zrobił ślad pierwszy; za nim poszedł drugi i trzeci, i znów zawiązywała się przerwana na chwilę łączność między mieszkańcami, dopóki wiosna, wszechwładnym rozkazem swoim, nie zmieniała postaci rzeczy. Szybko topniały wówczas śniegi, wartkie potoki złościły sobie przejścia w rozmokłym gruncie, rozmaitemi drogami spływając do wielkiego stawu, który przejrzystą szybą oddzielał miasteczko ode wsi, rozciągającej się daleko, tonącej w zieloności drzew wiśniowych, w wonnych czeremchach i bzach o kitach liliowych. Nie

było wtedy dróg żadnych, każdy sobie chodził, jak chciał i którądy chciał; wozy osiami garneły błoto, woźnice kłęli a kozy żydowskie grzęzły i becząc smutnie, wzywały litości przechodniów, którzy, obawiając się koziego losu, nie śpieszyli wcale brodatym stworzeniom z pomocą. Dopiero, gdy ziemia stężała pod ożywczymi promieniami słońca, poprawiały się warunki komunikacji: wydeptywano nowe ścieżyny i wszystko wracało do należytego porządku.

Pośrodku miasteczka rozciągał się rynek o nieforemnych liniach. Otaczały go już pokaźniejsze domy, w których były „zajazdy“ dla podróżnych, zmuszonych noc tutaj przepędzić, a różnobarwne szyldy, arcydzieła miejscowych malarzy, objaśniały, jaka jest zawartość sklepów, jakkolwiek zdarzało się nieraz, że podróżnik, nieobeznany z właściwościami miejscowego malarstwa, przez pół rozcięte cytryny i pomarańcze brał za jakiś wyrób szmuklerski i, zaszedłszy do sklepiku, gdzie sprzedawano owoce, pytał o potrzeby do czamary. Oburzona podobnym affrontem kupcowa, Sura lub Ruchla, energicznym ruchem palca wskazywała na szyld, mówiąc:

— Cy pan nie widziii?..

Podróżny nie widział tego, czego Ruchla pragnęła, ale domyślał się łatwo, że nie tam zaszedł, gdzie chciał. Rozpoczął więc poszukiwania nie zawsze z dobrym skutkiem.

Po środku rynku wznosiły się napół rozwalone mury jakiegoś starego gmachu. Mówiono, że za lepszych czasów miasteczka był to ratusz, w którym jakieś sądy i huczne zjazdy szlacheckie odbywały się, ale po nich śladu tyle zostało, co na fali, po której łódź wartka przepłynęła. Możeby mury niejedną ciekawą opowiedziały historią — ale one nie zdradzają tajemnic. Błąka się czas jakiś w pamięci ludzkiej to i owo, lecz nowe napływają czasy, nowi ludzie przychodzą. Bez żadnej jest już dla nich wartości kawał omszałego muru, a że do jego budowy dobrego materiału użyto, przyda się więc kamień czy cegła. Czas rozpoczyna dzieło zniszczenia, dłoń ludzka go dokończa. Pomimo tej podwójnej pracy w starych murach zostało jeszcze izb kilka, które, otynkowane, przerobione według dzisiejszych potrzeb, przeszły na własność potomków Izraela. Były więc w nich sklepy bławatne, składy płótna i sukna krajowych fabryk. Bądźcobądź, znaczna ilość sklepów i względna zamożność ich właścicieli mówiły o dość znacznym ruchu handlowym miasteczka. Największą ozdobą jego były dwa domy boże na dwóch przeciwnych końcach rynku stojące: katolicki kościółek o murach grubych z wysoko strzelającą wieżyczką i trójkopułasta cerkiew w kształcie krzyża zbudowana.

Co rana grała nad miastem muzyka dzwonów. Wysmukła wieżyczka kościoła dzwoniła sercem spżowem szybko, gwałtownie, poważnym głosem odpowiadały jej dzwony cierkiewne — i biegła pieśń smętna, uroczysta, w tysiączne rozbijające się echo.

Koło świątyni wznosiły się domy proboszczów. Były to jedyne budowle, gdzie porządek, czystość i ład panowały. Kilka lip starych ocieniało podwórza, zza parkanów wychylały się owocowe drzewa, a barwne grządki kwiatów w księżowskich ogródkach napełniały powietrze wonią lewkonii i goździków. Niedaleko kościoła stał dom duży, na którym widniał szyld wspaniały z napisem: Apteka... a choć miasteczko lekarza w murach swoich nie miało, pan Onufry Kopytko na sprzedaż mixtur i maści różnych nie uskarżał się wcale, obowiązki doktorskie sam spełniał i leczył ludzi na dobre.

Miasteczko owo, wraz z należącymi niegdyś do niego kilkunastu wsiami, stanowiło przed laty ogromne dominium rodu Ruszczyków, inaczej rodem Krzyżtoforów zwanych (bo to imię nie wychodziło prawie z ich rodziny) — z czasem jednak, rozmaitemi przewrotami losu, majątność rozpadła się na części, okoliczne grunta przeszły na własność kilkudziesięciu właścicieli, a dochodami z miasteczka dzielono się gromadnie. Była to więc duża kolokacja, w której największy udział miał potomek starodawnego rodu, pan Krzyżtof Ruszczyk. Stary, obszerny dworzec modrzewio-



wy, położony na krańcu wsi graniczącej z miasteczkiem, cieszył się patryarchalną powagą pomiędzy nowymi domami nowych właścicieli, którzy, jakkolwiek od lat już kilkudziesięciu na ziemi niegdyś Ruszczyków osiedli, pamiętali zawsze, że górował nad nimi stary dom Krzyżtoforów.

Miasteczko było otoczone wieńcem wieśniaczych chat i dworów szlacheckich. Bliskość mieszkań i łąnów dawała nieraz sposobność do różnych sąsiedzkich nieporozumień, które, gdy przechodziły granicę zwykłych swarów, oddawane były pod sąd rozjemczy pana Krzyżtofa. Słowo siedmiesięcioletniego starca było najwyższym wyrokiem. Zwaśnione strony godziły się i znów na czas jakiś zakwitła zgoda braterska. Domów takich było kilka dziesiątków; rodziny nieraz dzieliły pomiędzy sobą grunta, zakładano nowe gospodarstwa, osada się zwiększała, a że wszystkie potrzeby swoje zaopatrywano w miasteczku, (nie mówiąc już o stałych jego mieszkańcach lub tych, co z pobliskich wsi zjeżdżali po różnorodne sprawunki)—panom kupcom więc wcale się dobrze działo, robili złote interesa i niejedyn z nich, który w czasie jarmarku budkę swoją na środku rynku, jak namiot, rozpinął—po latach kilku miał już sklepik porządny i szyld nad nim malowany jak pisanka. Żadnego kupca z chrześcijańskim nazwiskiem nie było i niktby nie ryzykował wejść w drogę klasie uprzywilejowanej przez zwyczaj. Aż oto nagle zjawił się śmiałek jeden, który wynajął kawałek kościelnej ziemi, postawił malutki budynek o dwóch pokojach i jednym kominie i otworzył sprzedaż towarów spożywczych. Pierwszym kupującym był ksiądz proboszcz; za dobrym przykładem aptekarz poszedł—i mały handelek najniespodziewaniej się odżył.

Po paru dniach zauważono powóz pana Krzyżtofa przed klepem Ignacego Targańca. Bytność Ruszczyca była hasłem dla dworów i dworów, żeby pomódz swojemu. To też, po upływie dwóch lat pan Ignacy sklep swój w dwójnasób rozszerzył: powiększyły się i wydłużyły ściany domu, nad dach drugi komin wyskoczył.

Razu pewnego wszedł do sklepu stary Abram szewc, o brodzie siwej i oczach wiecznie czerwonych, o powiekach bezręsnych, znużonych, jakby sen nigdy z nich nie ulatywał. Niegdyś pono pan Ignacy temu Abramowi z pomocą pośpieszył, gdy bieda go dusiła a zwała z nóg choroba. Przybyły zdjął czapkę, ukłonił się i, siadając na wskazanym miejscu, rozpoczął rozmowę.

— Dzień dobry, panie Ignac!

— Co tam słyhać, Abramku? — zapytał Targaniec, podając staremu papieros.

— Chwalić Pana Boga, nie bardzo złego... Roboty troszka jest, nu — a jak jest, to i dobrze!

Obejrzał się po sklepie przepelnionym szufadami i zasiekami, wonnym od cytryn i pomarańcz. Drzwi do drugiego pokoju stały otworem, Abram i tam dojrzał skład nie mały produktów różnych.

— A prawda, że prędko powiększył się sklepik? — zaśmiał się Ignacy... Cóż tam, wasi? Żli na mnie — co?

— Bo na co panu tu było przychodzić i ge-szeft psuć naszym?

— Bardzo się gniewają? — śmiał się dalej Targaniec.

— Sto lat niech pan zdrowo żyje!.. Ale na co takie rzeczy było robić? teraz one bardzo niekontente...

Pogładził brodę i, zgasiwszy papieros, wyciągnął rękę do pożegnania.

— Do widzenia, panie Ignac!.. Ja-by zły nie był, gdyby pan i buty szyć zaczął... Pan dobry człowiek!..

W parę tygodni pożar zniszczył dom i sklep doszczętnie; ale w parumiesięcy za otrzymane wynagrodzenie z towarzystwa ubezpieczeń nowy dom stanął, blachą kryty, drewniane ściany grubo zostały obłożone cegłą, sklep się znów w dwójnasób powiększył. Pan Ignacy stał się pierwszym kupcem w miasteczku. Po upływie jeszcze lat

kilku majątek jego obrachowywano na dwadzieścia tysięcy rubli.

Zkąd przybył i czem był, nim się w Żabieńcu osiedlił, nikt nie wiedział. Zrazu pytać o to nie chcieli, teraz nie mieli potrzeby — pan Ignacy był bardzo pożądanym nabytkiem. Lat trzydziestu czterech — więc młody; powiększający się z dniem każdym sklep jego, mówił o wzrastającej zamożności, a że do tego był kawalerem do wzięcia; mamy, mające córki na wydaniu, miłem okiem na niego patrzyły. Chętnie więc otwierały się przed nim drzwi dworów okolicznych, a choć nazwisko pana Ignacego mieszczaństwem trąciło, powyższe jednak zalety kazały obywatelom na kilkudziesięciu morgach pola zapominać o tem.

Pan Ignacy dumny był ze wzrastającej coraz fortuny, która, wysiłkiem własnej jego pracy, dawała mu byt niezależny; dumny był ze swojego mieszczańskiego nazwiska, o szlachcie zaś odzywał się z lekceważeniem, zwąc ją strupieszalym grzybem. Sekundował mu w tem pan Onufry Kopytko, który, mimo to, uważał się za arystokratę *sui generis*. Ta nienawiść do szlachty była pewnym piętnem postępu; lecz, podczas gdy aptekarz zwierzał się z przekonani swoich tylko przed panem Ignacym, ten ostatni wygłaszał je jawnie i czasem brutalnością swoją niejednemu obraził. Zaczęto dąsać się i sarkać, ale Targaniec drwił z dąsów i, choć ksiądz proboszcz mówił, że tego rodzaju spory rozdrażniają niepotrzebnie dzieci jednej matczy — Ignacy rzucał się coraz zawzięciej na potępioną warstwę narodu, ni w przeszłości, ni w terażniejszości nie dostrzegając w niej stron dodatnich. Klasa ziemian szczególnie była narażona na pociski pana Targańca. Okoliczne obywatelstwo obchodziło go o tyle, o ile zaopatrywało swoje potrzeby w jego sklepie — nazwisko tylko Ruszczyca zastanowiło go na chwilę. Kollegował ongi z jakimś Ruszczycem; oczywiście mógł to być syn albo wnuk pana Krzyżtofa. Razem obaj skończyli gimnazjum, w uniwersytecie przebyli dwa lata. Po śmierci ojca Targaniec, otrzymawszy parę tysięcy rubli w spadku, porzucił zakład wyższy i oddał się handlowi, Ruszczyca pozostał, by skończyć rozpoczęte studia, — od tej chwili nie widzieli się z sobą. Teraz w Krzyżtoforach mieszkał jakiś szlachcic tegoż nazwiska. Udał się więc Targaniec do modrzewiowego dworca w zamiarze nabycia u pana Krzyżtofa kilku dębów na słupy do nowobudowanego się domu, przy tej zaś sposobności może cokolwiek dowiedziałyby się i o kolledze, któremu na imię było „Bolesław“, poznałyby starego „grzyba“ nie zawadziłoby łatki jakiej przypiąć zmurszałemu szlachcicowi.

Wrażenie, jakiego nie doświadczał nigdy jeszcze, zrobił na Targańcu ten dworzec omszony, który przeszło wieków parę na barkach swoich dźwigał. Łamany, wysoki dach z wylotami, w których co chwila pokazywały się białe gołębie, widocznie tam gniazdo swoje mające — pokrywały mchy ciemno-zielone; olbrzymie słupy, podpierające facyatę, miały na sobie rysy jakieś, wyglądające jak blizny dawne, przez lata szerniałe; nad wchodowymi drzwiami rozkonarzały się rogi jelenie, pod nimi zaś, w ołowianych ramkach, wprawiony w ścianę, widniał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej. Dwór cały był utulony zielonemi gałęzmi modrzewi i lip odwiecznych; pośrodku dziedzińca rozścielała się murawa; gospodarskie zabudowania świadczyły o rządności i zamożności pana Krzyżtofa. Ze stajen odzywały się rżenia rumaków, dwa brytany u wrót spoczywały.

Na pierwsze stróżliwe warknięcie psów podwórzowych, wyszedł z dworu człek siwy o wąsach sumiastych, w szaraczkowej kapocie, której poły za pas były włożone, w butach do kolan sięgających — i wezwawszy brysiów do porządku, powolnym wlokącym się krokiem do Targańca się zbliżył.

— Pan Ruszczyca w domu? — zapytał Ignacy.

— Służę panu — jest u siebie — odpowiedział stary sługa, i wprowadził gościa do izby dużej, na której ścianach wisiały antenaty pana domu.

Ignacy uśmiechnął się pod wąsem, zobaczywszy się w otoczeniu opancerzonych i obudzianionych

postaci. Szybkim ruchem oczu obwiodł szerniałe ściany i uśmiech stłumił na chwilę.

Zastanowiła go rzecz jedna.

Obicia podłużnych ścian różniły się barwą. Prawa strona była koloru krwi, lewa świeciła błękitem. Widocznie to były barwy pól herbu Ruszczyków. Na ścianach wisiały portrety. Tło błękitne było zawieszane całkowicie, karmazynowe miało nieco wolnego miejsca. Portretu pana Krzyżtofa nie było.

Zato on sam siedział zanurzony w głębokim fotelu. Starzec to był zgrzybiały z brodą białą jak mleko, która mu całą pierś osłaniała; brwi krzaczaste spadały niemal na oczy, czoło powiększone łysiną, zorane było w bruzdy różne i szramy. Mógł śmiało zająć miejsce obok swych przodków — podobny był do nich i tak biały, jak wielu z nich.

Spojrząwszy na poważną a wyniosłą postać pana Krzyżtofa, Targaniec uczuł się onieśmielonym. Na ustach żart mu zamarł; oniemił go chłód komnat. Stał chwilę, nie umiejąc słów znaleźć do rozpoczęcia rozmowy.

— Proszę! — odezwał się Ruszczyca.

Targaniec zbliżył się, w krótkich słowach powiedział po co przyszedł, pieniądze za słupy zapłacił staremu słudze, na którego pan Krzyżtof wskazał, i opuścił staroświecką komnatę z zaciśniętymi zębami.

Onieśmielenie, jakiego doznał, zirytowało go. Zwrócił się do odprowadzającego wiarusa.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— Jacenty Siekacz — odpowiedział odziewierny...

— Czy wasz pan ma syna, wnuka, czy jakiego innego... dya bła? — doszeptał.

Jacenty pierwsze tylko wyrazy zasłyszał.

— Ma syna — odpowiedział.

— Imię?

— Pan Bolesław.

— Pan Bolesław! — powtórzył z przyciskiem.

— Jakbyście nie mogli powiedzieć prosto: Bolesław!

— To już mnie proszę zostawić, jak mówić mam — odparł Siekacz.

— Zapewne, hm!.. szlachcic — syknął Ignacy. Zpodełba spojrział na starego, a nozdrza mu zawachlowały.

— Gdzież ten pan Bolesław?... — spytał po chwili. — Przy ojcu?

— Zagranicą bawi.

— Bawi się, dodaj lepiej waćpan, trwoni pieniądze i hula.

Siekacz zezem rzucił na Targańca i mruknął przez zęby:

— A pan zkąd wie o tem?

— Nie odrodził się przecie od swoich!

— Toć i chwała Panu Bogu za to...

— Tacy oni wszyscy poczciwi byli? — zapytał z przekąsem Ignacy.

— Różnie się dzieje, proszę pana, na świecie. Bywa i plewa, bywa i ziarno, tylko nie można każdego ziarna za plewę brać.

— Ziarno! — wykrzyknął patetycznie Targaniec — tylko, że ziarno kiełkuje, rośnie, dojrzewa, plon wydaje... a te wasze szlacheckie ziarna, albo gniją na rynkach zagranicznych stolic, albo, przyczepione do gleby swojskiej, oset rodzą.

— Albo — dodał Siekacz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## LISTY Z ANGLII.

Jak wędrowne ptaki wracają przed zimą na gniazda swoje, tak wasz powolny sługa znalazł się znowu z piórem w rękę przy swoim biurku korespondenta, aby wam dać sprawę z życia społecznego Anglii w tej porze letniej, w której puls jego zwalnia się wprawdzie, ale nie zatrzymuje nigdy. Letnie wakacje zaczynają się tutaj póź-



no—później niż gdzieindziej, bo z końcem Lipca, to jest z końcem posiedzeń parlamentarnych, których zamknięcie ilustrują zwykle dwie tradycyjne biesiady: uczta rybna w Greenwich i obiad w Mansion House, to jest w ratuszu u lorda majora, czyli prezydenta Londynu. Jest nim obecnie człowiek bardzo poważny i poważany, Henryk Savory, któremu królowa nadała, nietylko godność szlachecką, jaką zwykle otrzymuje każdy lord major Londynu, jako człowiek dobrze zasłużony krajowi, ale i baroneta, a to w dowód wdzięczności za bardzo wspaniałe, bardzo wystawne przyjęcie w City londyńskiej cesarza Wilhelma. Królowa Wiktorya, która jest wskroś zaeną, rodzinnych cnót kobietą, okazuje się tak tkliwą babką, jak była, a raczej, jak jest dotąd, dobrą matką, i przyjmowała wnuka bardzo serdecznie, a zarazem bardzo okazale, jako cesarza niemieckiego.

Nie przeszkodziło to przecież dobrej harmonii z Francją; wiecie zapewne z gazet o uroczystościach w Portsmouth, to jest o fraternizowaniu floty angielskiej z francuską, a i tu królowa Wiktorya była czynną—była motorem całej sprawy wbrew nawet pierwszemu ministrowi, lordowi Salisbury i księciu Walii. Wnuka swego, księcia Henryka Pruskiego, wyprawiła z Londynu, a jakkolwiek książe Jerzy, syn księcia Walii, zdawał telegrafem dwa razy dziennie wujowi, to jest Wilhelmowi II, sprawę z uroczystości, okazywała Francuzom prawdziwie królewską gościnność. Ludzie starsi nie wyrzucają łatwo z serca uczuć, żywionych przez długie lata, i królowa Wiktorya czuje zawsze sympatyę do Francji. Książe Walii i Salisbury wyjechali, co przecież nie popsulo bynajmniej rzeczy. Wspaniałym też był widok, kiedy eskadra francuzka z rozwiniętą flagą podpłynęła pod Portsmouth, gdzie czekała ją angielska, z której okrętów zabrzmiała chórem śpiewana Marsylianka, gdy na pokładach francuzkich ozwał się stary narodowy hymn angielski.—„Boże, ocal królową!...”—śpiewano na statkach francuzkich z prawdziwym zapałem; królowa stawiała za warunek odbywającej się uroczystości, aby tego właśnie nie było—aby dźwięki Marsylianki nie rozległy się u wybrzeży Anglii, ale w końcu przyjęła tłumaczenie, że jest to obecnie narodowy hymn Francji, nie biorąc też w rachunek nie nad to, szlachetna pani powstała przy pierwszym dźwięku pieśni i wysłuchiwała jej stojąc.

Publiczność nie pozostała też obojętną. Nietylko z wybrzeży, tak natłoczonych, że nie zmieściłaby się już przysłowiowo, szpilka jedna, ale z mnóstwa jachtów, szalup, drobnych statków nadbrzeżnych podnosiły się entuzjastyczne okrzyki na cześć gości. Swoją drogą urzędnicy angielscy odmykali tylko furtki najmniejsze Francuzom, pragnącym zwiedzić ich arsenały, ich składy amunicji, bo to już jest rzeczą karności wojskowej, aby pod tym względem każdy naród zachowywał tajemnice swoje. Przytomni, nie wyjmując nawet niemieckich korespondentów, przyznawali, że marynarze francuzcy, w znacznej części bretończycy, to lud trzeźwy, uczciwy, nie obywatel się bez Boga, jak zdemoralizowany mieszkaniec przedmieść paryżkich. Normandya dostarcza też zarówno flocie francuzkiej ludzi silnych, nie zepsutych przez cywilizacyjną materjalną.

Zjazd doroczny angielskich stowarzyszeń robotniczych, jaki w rokueszłym odbył się w Liverpoolu, a obecnie w połowie bieżącego miesiąca w Newcastle nad Tyną, jest dobrą ilustracją tutejszych stosunków rzemieślniczo-robotniczych. Ludność tak fabryczna, jak pracująca w licznych kopalniach węgla, jest zdrowa na ciele i umyśle, wskutek tego energiczna, silna przez ducha stowarzyszeń, posiada niemniej niezatracającą się nigdy w Angliki indywidualność, więc dlatego nie dopuszcza do siebie mrzonek socjalistycznych, które indywidualność tę pochłaniają właśnie. Przecież rozumie ona korzyści stowarzyszenia i, na tych się opierając, podnosi się nad ten stan życia z dnia na dzień, który inaczej grozi najpracowitszemu robotnikowi, bo choroba i wypadki losowe nie oszczędzają i takich. Ale mimo silnie rozwiniętego przemysłu kraj nie może dać zajęcia wszystkim potrzebującym pracy,

aby żyć, i nędza w wielkich miastach angielskich, w Londynie zwłaszcza, jest przerażającą. Pisalem wam w przeszłym liście o armii generała Booth—armii zbawienia; jak przecież potrzebne tu są środki ratunku nadzwyczajne, odpowiedzą wam liczby wyjęte z ostatnich danych statystycznych. Ludzi bardzo ubogich, wyrobników, nie mogących liczyć napewny zarobek, jest w samym Londynie 316,000, czyli 7% ogółu ludności stołecznej Anglii, gdy liczba osobistości moralnie podejrzanych bez stałego zajęcia stanowi 0,9% ludności. Milion ludzi zarabia w Londynie i na jego przedmieściach 18 do 22 szyllingów tygodniowo, co przedstawia kwotę, zaledwie na pierwsze, konieczne potrzeby życia starczyć mogącą.

Pociechą wobec tych posępnie smutnych, a nieuniknionych, bo z przeludnienia wytwarzających się, stosunków, jest nowe prawo o wychowaniu: „Free education bill“; przyjęty już poprzednio przez Izbę Gmin, na ostatnich posiedzeniach parlamentu zyskał on nakoniec sankcyę Izby Wyższej. Nie przyszło to łatwo, bo konserwatyzm angielski jest opornie twardym wobec rzeczy nowych i potrzeba, aby to, na co ma się zgodzić, weszło mu w umysł dostatecznie wyświecone i obejrzone ze stron wszelkich. Za to następnie stoi się w Anglii silnie przy każdej raz przyjętej rzeczy. Zapał nie bywa tu motorem siły, która rzeczy nowe tworzy, ale znajduje się w piersiach gdy trzeba utrzymać coś raz przyjętego, raz w życie wprowadzonego. Rozumy stawiają się wyżej nad uczucie; że przecież nie brakuje i uczucia, dowodzi ten układ życia, który, rozumom powierzony, uczucia jednak z rachunków swoich nie wykreśla. Bill wspomniany wytwarza zapomogi państwowe dla znacznej liczby szkół, jakkolwiek zapomogi takie istnieją już i obecnie, bo obok 4,500 szkół rządowych, jedynie z opieką, to jest z nadzorem gmin, więcej niż 14,000 początkowych szkół prywatnych otrzymywało ze skarbu, bo ze skarbowego funduszu hrabstw, znaczne subsydia. Obecnie wszystkie te szkoły przechodzą na koszt państwa, które dało na ich utrzymanie przogromną sumę 2,000,000 funtów sterlingów. Wolno przecież zakładać i utrzymywać szkoły prywatne i jakkolwiek rady szkolne będą istnieć w każdym okręgu, szkoły prywatne rządzą się same wtedy nawet, gdy ze względu na pożytek publiczny otrzymują subsydia państwowe. Ministerium oświaty powierza to troskliwości i rozumowi rodziców.

Od oświaty żąda się tu i spodziewa pomocy przeciwko pladze, która podkopuje zdrowie i moralność angielskiego ludu — przeciwko pijactwu. Wilgotny, mglisty klimat wyspy jest tego powodem. Na odbytych niedawno w Londynie kongressie higienicznym sprawa ta została podniesioną, jako jedna z najważniejszych kwestyi społecznych w Anglii. Nie tajono tu, że mimo wielu apostołów wstrzemięźliwości lud angielski pije więcej, niż się to z jego moralnym i fizycznym zdrowiem zgodzić może. Według wykazów przedstawionych kongressowi ludność angielska wydała w 1889 r. na napoje gorące sto trzydzieści dwa miliony funtów, co przedstawia kapitał większy o  $\frac{3}{4}$ , niż dochód ze wszystkich gruntów ziemi angielskiej,  $\frac{3}{4}$  więcej niżeli wydatki na chleb, dwa razy tyle, co na wełnę, bawełnę i płótno, zatem na odzież. Kongres podniósł też kwestyę możliwego zmniejszenia liczby szynków, możliwego ich zamknięcia; że przecie postawiono tu zarazem zagadnienie: jak to może oddziałać na zdrowie? jeden z członków kongressu, prof. Philips wykazał na podstawie danych, dostarczonych mu przez angielskie towarzystwo ubezpieczeń na życie, że ludzie nieużywający wcale napojów wysokokowych, żyją najdłużej.

Mimo to wszystko niema powodu niepokoić się o przyszłość angielskiego ludu. Na wspomnianym powyżej zjeździe w Newcastle energia i zdrowy rozum tego ludu wykazały się tak dowodnie, że wierzyć można dla niego w szczęśliwy postęp. Trzeba też liczby jego niedoborów moralnych zestawić sobie z innemi, a stosunek ich do siebie rzuci potrzebne tu światło. Według ostatniego spisu ludności, Londyn właściwy liczy 4,211,056 dusz. Przed laty dziesięciu, to jest

w 1881 r., ludność ta wynosiła 3,815,704, gdy w 1801 nie dochodziła miliona, bo liczyła tylko 958,863 osób. Domów jest tam teraz 547,410, kościołów 1,050, szpitale i przytułków tego rodzaju 2,100, gdy zatem przedstawimy sobietaki aglomerat ludzi, musimy uwierzyć, że obok tego, co tu jest złem, co tu jest karygodnym i szkodliwym, może się znaleźć, i znajduje niewątpliwie, przeciwwaga.

Na zakończenie z liczbami dodam jeszcze, że wydatki roczne ludności londyńskiej przedstawiają sumę 400,000 funtów sterl. A jak tu układają się stosunki życiowe wśród tego aglomeratu ludności: jak tu obok najszlachetniej pojętej godności człowieka stawia się zaraz cynizm bezczelny, wykazuje założona tu jawnie i przez afisze, rozlepione po rogach ulic londyńskich, ogłaszająca się *szkoła żebractwa!* „Nauka żebractwa w sześciu lekcjach...“ to program „profesora“ Lazarusa Rodney'a, który obiecuje publicznie w sześciu lekcjach wyuczyć sztuki życia bez pracy—życia z grosza użebranego, zapewniając obok tego klientom swoich, że zajmie się wynajęciem dla nich najtańszego i najkorzystniejszego miejsca tych operacji finansowych. Jegomość ten utrzymuje jawnie szkołę dzieci zaprawiających się do tego pięknego rzemiosła, kobietom żebrzącym dostarcza niemowląt, któreby stanowiły środek wzruszający litość serc tkliwych, fabrykuje na żądanie udane kalectwa, i to wszystko ogłasza przez afisze, spokojnie i bezkarnie!..

Przecież właściwie ten Londyn, którego jądro tworzy „City“, to jest *Stare miasto*, faktycznie nie stanowi jeszcze całego Londynu, gdyż istnieje jakoby Londyn drugi, znacznie większy, liczący 3,633,332 mieszkańców, którego dzielnice mają własne rady municypalne, własną policyę, lecz są rzeczywiście Londynem—Londynem nowożytnym, któremu przecież surowy konserwatyzm angielski pozwala jedynie nosić nazwę przedmieść.

Aby zwiedzić ten Londyn cały, poznać jego zakłady, jego bogactwa i jego nędzę, trzeba oddać na to część życia. Instytucji takich, jak londyńskie, które, przyjmując w siebie wszystko, co daje nowożytna cywilizacya, nowożytna kultura, zachowują sakramentalnie stare formy, nie znaleźć chyba nigdzie na świecie. Wre tu życie nowoczesne, w handel, w przemysł, w postępy nauki wcielone; przecież nie wolno mu uchybić w niczem uszanowaniu dla przeszłości, którą reprezentuje nazewnątrz toga lorda majora i jego eskorta kopijników. Do rzędu starych instytucji, które przykładają się z zapałem do pracy na polu nowożytnych odkryć, nowożytniej nauki, należy *British Museum*, które właśnie w tych czasach złożyło rządowi sprawozdanie, ogłoszone publicznie. Brzmi tu skarga, że galerie, zawierające starożytne zbiory greckie, marmury Partononu, oraz zbiory egipskie, ściągają do siebie publiczność bardzo nieliczną, i coraz-to mniej były odwiedzane. Czytelnia, obejmująca cały szereg sal i gabinetów, była za to zawsze pełna; niemniej zarząd tej instytucji narodowej nie ustępował gustowi publiczności i wszystko, co ze starych i nowych czasów pochodząc, przedstawiać może interes wyższy, a wiąże się z wielkimi wspomnieniami, z szacownemi nabytkami nauki, było dla zakładu nabywane. Dział manuskryptów wzbogacił się tekstem konstytucji ateńskiej — dziełem Arystotelesa, które uważano już za zaginione.

Oddział historii naturalnej cieszył się ze swojej strony z ogromnym zapałem, że zdobył, ubiegłszy Berlin, największy ze znanych zbiorów pająków, liczący w okazach swoich 20,000 rozmaitych gatunków..

Emin Pasza nadesłał też liczne a ciekawe, bo nieznane dotąd, okazy fauny afrykańskiej.

Anglik, nawet sam naukowym nie będąc, naukę wysoko szanuje i, jeśli tylko zamożnym jest, grosza dla niej nie skąpi, a z naukowych zbiorów kraju swego dumnym się czuje. W ogóle tworzenie zbiorów stanowi jeden z charakterystycznych rysów angielskiego społeczeństwa; umięją tu ludzie czuć, że przedmioty pojedyncze, wartości małej, stają się szacownemi, gdy kolekcye tworzą. I w życiu trzymają się zasady wytwarzania siły przez zbiorowość, jak świadczą o tem kluby,



i trafnie też ktoś powiedział, że Anglią można śmiało nazwać „Club Land“ — krainą klubów. Dwie najwspanialsze dzielnice Londynu: Pall Mall i Picadilly, niemal całkowicie zajęte są przez domy, pałace klubów, i wszystko co komfort angielski wymyślić potrafił — wszystko, co według upodobań i gustów nowożytnych stanowić może o rozrywce i wygodzie, o przyjemnym przepędzeniu czasu, jest tu nagromadzone.

Anglik jest z natury swojej usposobionym do życia domowego. Gdy mu go braknie, w dodatkiem znaczeniu tego wyrazu, tworzy je sztucznie i urządza sobie „a home“, gdzie się czuje u siebie. Kluby dzielą się według pozycji towarzyskiej lub zajęć członków, często według odcieni politycznych; zawsze przecież jest tu warunkiem, aby osobistość każdego z członków odpowiadała temu, co się przez pojęcie honoru i uczciwości człowieka jego współobywatelom dodatnio przedstawia. Jest w Londynie klubów takich różnych odcieni towarzyskich kilkadziesiąt. Najstarszy z klubów londyńskich „White Club“, jeszcze przeszłego wieku początkiem swoim sięga; a tu, jak i w klubie założonym przez księcia Walii: „Malborough Club“, tylko arystokracja angielska najpierwszej wody się zgromadza; przecież najwyższej stojącej w znaczeniu, w opinii publicznej jest klub „Ateneum“ — klub uczonych, literatów, artystów, wyższe stanowisko w sztuce zajmujących. Przystęp do niego nie łatwy i pierwsze osobistości w kraju uważają to sobie za zaszczyt, aby członkiem Ateneum być, bo świadczy to już, że obok tego, co się honorem — niesplamioną kartą życia nazywa, posiada jeszcze w dodatku pewną wyższość umysłową, pewne znaczenie w świecie podniosłej myślącym i czującym. Jeden tylko z tych klubów „Albermale Club“ przypuszcza do swego grona kobiety.

Kluby kobiece nie udawały się, choć próbowano kilkakrotnie je zakładać, czemu w Anglii dziwić się trzeba. W Londynie jest nie mały zastęp takich kobiet samotnych, których umysł oświecony potrzebowałby, po pracy zwłaszcza, przyjemnej wymiany myśli; przecież nie udało się nigdy zapewnić klubom takim dłuższego trwania. Że kluby mieszane, łączące mężczyzn i kobiety, nie dały się zorganizować, to rzecz zrozumiała: kto takiego towarzystwa szuka, znajdzie je w salonach, w bawialnych pokojach domów znajomych i nie potrzeba na to klubu wytwarzać.

Kluby polityczne, zwłaszcza w czasie zebrania parlamentu, są najliczniej odwiedzane i mają rację bytu zapewnioną; że przecież, Bogu dzięki, Anglia życie rodzinne wysoko ceni i znaczenie jego społeczne rozumie, nigdy kluby nie rozwinęły się tak, aby stały tu z konkurencyją zebraniom u domowego ogniska. Nawet mężczyzna, gdy już jest małżonkiem i ojcem, traci na opinii, na szacunku u ludzi, jeżeli brakuje go w domu wśród koła rodzinnego — jeżeli pociąga go za nadto powab życia kawalerskiego. Dobrze jest z tem Anglii i stara pieśń: „Home! sweet home!“ ceniona tu jest niemal na równi z tą inną, której dźwięki każą bić sercom angielskim tak w piersi mężkiej, jak kobiecej, dziecinnej nawet: „Rule Britania“...

Henryk.

## Ze wspomnień pedagoga

przez

WICENTEGO DAWIDA.

II.

Zbliżały się wakacje 1889 roku. Dostałem zamówienie do p. R. do Międzyrzecza, ale tylko na czas wakacji, dla przygotowania dwóch chłopców ze szkół realnych, którzy mieli poprawki powakacyjne.

Po czterogodzinnej podróży nocnej koleją terepolską stanąłem na miejscu. Gdy było jeszcze zbyt rano, postanowiłem czas zbywający zużytkować na obejrzenie miasta.

Minąwszy na prawo posiadłość pp. R., a na lewo park i pałac właścicielki Międzyrzecza, hr. Alexandrowej Potockiej, po moście na Krznie wkracza się w terytorium miasta, które w pięknej panoramie rozwija się poza obszernymi łąkami. Na wstępie, po prawej i po lewej ręce, ładne domki z gankami i ogródkami, drewniane, ale kształtne; lecz dalej, wchodząc w miasto, mury, w kramami i sklepami żydowskimi. Rynek dość obszerny, z cerkwią i apteką, po drugiej stronie. Z boku, na lewo od rynku, na miejscu nieco wzniesionem, wspaniała kościół parafialny pod wezwaniem św. Mikołaja, dokoła obwiedziony murem i ocieniony starymi lipami.

Kościół fundowany w r. 1477 przez Jana Nasutowicza. Parafia międzyrzeczka, liczy 8.000 głów. Przy tak licznej parafii, pomimo obszerności kościoła panuje taki natłok w czasie nabożeństwa, iż nie tylko świątynia wewnątrz, ale i cmentarz, pomieścić wiernych nie mogą.

W liczbie proboszczów międzyrzeczki wspominały: Brosciusza Jana, Lanckorońskiego Wespaziana, Załuskiego Andrzeja, Piramowicza Grzegorza. W tym czasie był proboszczem ks. Adolf Pleszczyński.

Miasto, brukowane, leży między rzekami Krzną od południa, Cną wpadającą do Krzny na wschodnim skraju, i Piszczką na zachodnim; liczy 11.664 mieszkańców, przeważnie żydów, bo 9.285 katolików 1.752, resztę 620 ruskich. Jest tu szkoła miejska 2-klasowa dla chłopców i żeńska 1-klasowa dla dziewcząt. Chederów 45.

Była już g. 7-ma gdy powróciłem z wycieczki. Całą rodzinę pp. R. zastałem już w ruchu. Powitano mnie z całą uprzejmością i zaprezentowano mi wszystkich członków, tak starszych, jako i dziatwę. Zjechali się już na wakacje bracia, siostry, kuzynki, kilka panien dorodnych i mniejszych pensyonarek. Sama pani R., Francuzka, ale po-polsku mówi wprawdzie, ręce spracowane, bo wyjątkowo wyróżnia się od swych rodaczek, gospodyni zawołana. Od godziny 5-jej już obchodzi gospodarstwo, robi w ogrodzie ze służbą, przyrządza śniadanie, smaży konfitury i soki, marynuje rydze, suszy grzyby, sprzedaje produkta mierzy gruszki i jabłka. Przy niej jej siostrzenica, panna dorosła, wykształcona Angélique B.

Miałem lekye z 2-ma chłopcami i jedną panienką, pensyonarką od p. Smolikowskiej. Zajęcia było od 8-jej do 12-jej, ani pięciu minut więcej, bo to wakacje. Resztę czasu, począwszy od obiadu, który regularnie podawano o 12, aż do podwieczorku, spędzaliśmy na rozrywkach, przechadzce po ogrodzie, na grze w krokieta, piłkę lub kręgle. Po podwieczorku znowu to samo. Kąpiele w łaźniach na Krznie w końcu ogrodu. Panny starsze niekiedy coś czytały, ale młodzież nie dała sobie wspomnieć o książce — bo to wakacje. Do wesołych zabaw, do jazdy konnej, strzelania do ptaszków, byli jedyni. Najstarszy po kilka wiorst przejeżdżał na welocypedzie, i to drewnianym, domowej roboty, konno jeździł jak kaukazki dzygit, ale ani razu nie widziałem książki w jego ręku.

Pan R., człowiek dużej nauki, posiadał piękną bibliotekę, zbiór minerałów i rzadkich kamieni. Wszystko to, jak biblioteka, tak minerały spisane w katalogi, poklasyfikowane. Zdawałoby się, że wśród takiego otoczenia synowie powinni szczególne mieć zamiłowanie do książek; tu było przeciwnie. Rodzice sami temu się dziwili. Wytłómaczyłem im, że wczesne zbyt zaszczepienie dzieci do książki, jak tu i na dwójgu już mniejszych dzieciach praktykowano, stało się powodem zniechęcenia i przesyty. Ale zato chłopcy byli fizycznie rozwinięci, zdrowie żelazne. Zw ykle z jednej ostateczności wyradza się druga.

Czasem całe towarzystwo wyjeżdżało do lasu: dzieci i panie w drabiniastych wozach, młodzież z panną Angélique konno. Przyłączała się rodzina państwa Jar., tuż w sąsiedztwie mieszkających. Rodzina liczna, trzech gymnazystów z Siedlec, córka zameżna z dziatwą. P. Jar. był rządcą lasów hrabiny i prowadził gospodarstwo

na małym folwarczku. Do niego należał też ogród owocowy, dość obszerny.

Spotkałem tutaj dwóch dawnych swych uczniów: jednym był tenże sam pan Jar. z pierwszej epoki bytności mej w szkołach lubelskich, drugi inżynier pan K—wski, z czasów późniejszych. Państwo K—wscy z całą rodziną, znają mi z Lublina, mieszkają po drugiej stronie miasta, w domku należącym do zarządu inżynierii, także pośród ogrodu.

Z obowiązku parafianina, choć tylko czasowego, odwiedziłem szanownego proboszcza, księdza Adolfa Pleszczyńskiego, o którym wiele mi mówiono. Od razu po pierwszym zarekomendowaniu się, przyjął mnie z całą otwartością, gościnnie. Przedstawił mi przytem swoje dwie siostry, które miał przy sobie, a z których każda miała osobny wydział w zarządzie domu. Sam człowiek uczony i lubiący pracować naukowo; przetłómaczył z francuskiego dziełko: „Duch św. Franciszka Salezego“ i wydał swym nakładem w Warszawie. Exemplarz tej książki zaraz mi ofiarował, położywszy parę odpowiednich i pochlebnych wyrazów.

Ksiądz Pleszczyński przygotował również do druku inną pracę: „Monografią Międzyrzecza i parafii“. Szczegóły zebrane starannie, bardzo ciekawe, z których kilka powyżej pomieściłem. Szczególniej zwrócił uwagę na lud tamtejszy, kreśląc jego charakter, zwyczaje, obrzędy pieśni, zabobony, gusła, prowincjonalizmy. Dziwiłem się, jak ten kapłan, obok pracy nad tak liczną parafią chociaż ma do pomocy młodego wikariego, znajduje jeszcze dosyć chwil na takie molarne badania, do jakich należy wszelka praca nad historią. W przedmowie zachęca i innych proboszczów, aby każdy w obrębie swej parafii chciał się zająć zebraniem wiadomości, dotyczących historii, podań, zwyczajów, obrzędów danej miejscowości. Takim sposobem złożyłby się piękny materiał do historii całego kraju. Zdumiewający także ład i porządek panuje w kościele w odbywaniu nabożeństwa i naukach ludowych. Cmentarz dokoła i kościół utrzymany czysto, niemal wytwornie. Lud pobożny, — tak mężczyźni, jak i kobiety, modlą się na książkach.

Zbliżył się koniec wakacji. Z żalem rozstawałem się z gościnnym tym domem i zaczął rodziną, jadąc na bruk warszawski i odwożąc swych uczniów, którzy na drugi dzień mieli stanąć do egzaminów. Ale na dzień przed odjazdem, który miał nastąpić w Niedzielę 25 Sierpnia, młodzież wymogła na mnie, abym urządził naprędce przedstawienie amatorskie, pożegnalne. A tu żadnej odpowiedniej sztuczki nie miałem pod ręką. Siadłem więc w wieczór, w parę godzin napisałem komediijkę krótką, lekką, p. t. „Próby Miłości“. W Sobotę rozdałem role. Scenę urządził w werendzie oszklonej w willi, siedzenia dla widzów przed werendą pod drzewami. Ale o samej 8 godzinie, gdy po wielu próbach mamy rozpocząć przedstawienie, zrywa się burza z ulewą — błyskawice i gromy nie ustają. Młodzież nie traci animuszu, przenosimy dekoracje, umeblowanie i zasłonę do sali, w samym dworku. Tasama publiczność, którą składali dwaj bracia, ich małżonki, drobniejsze dzieci, kilka sług, zajmuje miejsce. Przedstawienie odbyło się z wielkim zadowoleniem sz. publiczności. Nie szczędzono oklasków dla artystów i wywoływał dła autora. W dodatku były charakterystyczne tańce. Jedna ze starszych panien z chórem młodzieży odśpiewała starą, poczciwą piosnkę: „Wyszła Filis do ogrodu.“ W końcu przemówienie pożegnalne do publiczności, w którym udało mi się zastosować kilka dowcipów, co niezmiernie zadowoliło obecnych i wywołało ogólną wesołość.

Podobne chwile rzadko się zdarzają w zawodzie i życiu pedagoga, i dlatego je tutaj, jako wyjątkowe, skreśliłem.

\*

\*

\*

I rzeczywiście mało chwil pogodnych w życiu, zwłaszcza prywatnego, pedagoga. Nauczyciel domowy wystawiony zwykle bywa na tysiączne próby i przykrości i musi uzbroić się w wielki



stoicyzm, aby wyjść z tryumfem. Najestrożniejszego oplatają tysiącami niedostrzeżonymi nitkami intryg, plotek, zawiści; każde jego słowo, w najniebezpieczniejszej wymówione myśli, wobec lokaja, pokojówki, albo do kogoś z sąsiadów, zaraz przekształcone, zakomunikowane państwu, to jest rodzicom, wytlómaczone na niekorzyść i wrogo dla nauczyciela. Ztąd zaczynają się podejrzenia, nieufność, chłodniejsze obejście. Gdyby nawet nie to, samo już ciągle potrącanie się o tesame osoby od od rana do wieczora, jest już powodem wzajemnego znudzenia, zubożenia, wzajemnej niechęci, a w końcu nieufności. Wszystko, na co patrzą, zaczyna ulegać krytyce, a przynajmniej jakimś zarzutowi. Za ogólnym nastrojem państwa i sług idą dzieci, które rade są zawsze dojrzeć coś ujemnego w swym przewodniku i nieodstępny stróżu ich kroków. A wtedy, niestety, kończy się jego powaga; on staje się celem ostrych docinków, szorstkiego obejścia się rodziców, grubiaństwa i lekceważenia służby, a wobec tego samo stanowisko zależne i płatny zawód odejmuje nauczycielowi powagę i szacunek.

Inne jest znaczenie nauczyciela publicznego. Ten niezależny od rodziców, postawiony na przedmiotowym stanowisku, jeżeli światłem, nauką i charakterem, stanie wyżej ponad całą sferę otoczenia, żadną miarą już zależnym być nie może od dziwacznych najczęściej, narzucanych mu wymagań, kaprysów i fantazy. Młodzież go poważa, głosi jego słowa za nieomylnie poza szkołą, w miarę tego wzrasta jego powaga i znaczenie. Na wsi lub na partykularzu największa nauka, patent na mądrość, mają za świadków jeden dom, kilku sąsiadów, dla których te zalety, nie przedstawiają najczęściej ani powabu, ani znaczenia. Otaczający go prędzej dostrzegają małe drobne słabości, nieodłączne od natury ludzkiej ułomności moralne, a nieraz i fizyczne, niż jego wartość etyczną i naukową, bo tej w zacieśnionem kółku jednej rodziny najczęściej niema komu ocenić. Największe wysiłki i talent pedagoga domowego nikną bez echa wśród otoczenia zajętego troskami domowymi i gospodarskimi. Ztąd i w pedagogu rychło znudzenie, apatya i chęć zmiany miejsca.

Przeciwnie w szkołach publicznych. Tu słowo nauczycielskie, wyrzeczone z katedry, odbija się echem w duszy kilkudziesięciu słuchaczy. Każde wyrzeczenie nabywa też wagi i powtarzane jest w domach rodzicielskich. Tu nauczyciel z katedry produkuje się tylko z tem, co ma najlepszego w sobie, odsłania tylko swą stronę poważną, powabną, dodatnią: stronę ujemną, swe niedoskonałości osłania i przyciemnia powagą swego stanowiska.

A jaką czcią i miłością cieszą się u swych słuchaczy, widzimy to nieraz na zjazdach urządzanych po wielu latach przez wychowanców różnych szkół. W takich uroczystych chwilach, nauczyciel, otoczony licznem gronem dawnych swych wychowanców, zwykle uczczony, postawiony jakby na piedestale apoteozy, ukoronowany laurem synowskich wynurzeń uznania i miłości.

Wymowny przykład takiej wdzięczności i uwielbienia swych nauczycieli dali wychowanci szkół szczebrzeskich w dniu 3 Października 1883 r. w Lublinie. Był to zjazd mężów zasłużonych na różnych stanowiskach: ziemian, profesorów, uczonych, księży, urzędników wojskowych, doktorów, adwokatów, a obok nich biednych oficyalistów, dzierżawców, i t. d., w liczbie ogólnej 75. Przedstawicielem zaś owych szkół i żywą ich historią był żyjący jeszcze wówczas prof. Filip Zabawski i wdowa po ostatnim dyrektorze s. p. Kiewliczowa. Czcigodny Z. od początku powstania szkół szczebrzeskich kształcił się w nich jako uczeń, a ukończywszy później wyższe nauki, pracował jako nauczyciel do chwili ich zwińnięcia. Starzec 84-letni, pamiętał z imienia prawie wszystkich obecnych i przytaczał różne okoliczności z czasów ich bytności w szkołach. Cześć i uwielbienie, jakie okazywali starzy, osiwiłali wychowanci profesorowi, do łez go wzruszyły. Na uczczenie owego pamiętnego

zjazdu złożono znaczną sumę, którą rozesłano między kilku nauczycieli pozostających w niedostatku, lub złożonych chorobą i niemogących uczestniczyć w zjeździe.

Do podobnego uznania zdolni są tylko wychowanci szkół publicznych; stosunek nauczyciela domowego z jego wychowancami zwykle ustaje wraz z ustaniem samej pracy.

## Wiadomości z Hygieny i Medycyny Popularnej.

### Organa oddychania.

Budowa, czynność, ważniejsze choroby, ich leczenie i zapobieganie.

(Dalszy ciąg).

W suchotach płucnych kaszel bywa wielce różnorodny, a to stosownie do okresu, w jakim choroba się znajduje. W samych początkach bywa rzadki, pojawia się głównie wieczorami, później staje się coraz częstszym, wybucha i podczas dnia a w plwocinie pod mikroskopem badanej odnaleźć można laseczniki Kocha.

Kaszel zatem jest bardzo ważnym objawem, nie tylko bowiem wskazuje, że mamy do czynienia z chorobą dróg oddechowych, lecz z jego własności i wyrzuconej plwociny można w pewnym stopniu wnosić o siedlisku choroby i jej charakterze. Pomimo to byłoby wielkim błędem, gdyby kto chciał jedynie z kaszlu wyrokować o rodzaju cierpienia. Aby wyprowadzić diagnozę, niezbędną jest rzeczą zbadać wszystkie objawy, a przede wszystkim kierować się należy wysłuchiowaniem i opukiwaniem klatki piersiowej, co naturalnie może być dokonane tylko przez lekarza.

I inne objawy nie są stałe i charakterystyczne, tak np: ból, częstokroć bardzo nieznośny, wydarza się w zupełnie łagodnych cierpieniach dróg oddechowych, a najcięższe ich formy mogą przez długi czas przebiegać zupełnie bez bólu.

Rozumie się, że zbiór objawów tego rodzaju, jak kaszel z wyrzucaniem plwociny, ból w klatce piersiowej, duszność, ciśnienie, poty nocne i t. p. pozwalają bezwarunkowo podejrzewać chorobę płucną, lecz powtarzamy raz jeszcze, dokładne jej określenie, i temsamem zarządzenie odpowiedniego leczenia możliwe jest tylko przy pomocy opukiwania, wysłuchiwania i badania mikroskopowego plwociny, a to wszystko musi i być pozostawione lekarzowi.

\*

\*

Każdy z organów składających aparat oddychania może podlegać oddzielnie chorobie, albo też dotkniętych zostaje kilka na raz lub też nawet wszystkie.

Częstymi bardzo są cierpienia gardzieli, krtani i oskrzeli, powstające najczęściej skutkiem przeziębienia, a noszące nazwę zapaleń kataralnych.

Z pewnością niema człowieka, któryby choć raz w życiu nie przebywał zapalenia gardzieli lub krtani, t. j. tego, co powszechnie nazywają bólem gardła, a którego głównymi objawami są właśnie ów charakterystyczny ból przy łykaniu i chrypka. Są to cierpienia po największej części łagodne, i zazwyczaj już po kilku dniach ustępują, nie pozostawiając po sobie żadnych następstw. Samodzielne zapalenie tchawicy zdarza się bardzo rzadko, za to kataralne zapalenie oskrzeli jest jedną z najczęstszych chorób, która prawie zawsze bierze początek w przeziębieniu.

Tu mamy już do czynienia z kaszlem, wyrzucaniem plwociny, gorączką i często z trudnościami oddychania. Choroba ta u osób dorosłych, zkadłina zdrowych, nie przedstawia niebezpieczeństwa; zato u małych dzieci, u których światło

drobnych oskrzeli jest bardzo małe, grozi zawsze poważnym niebezpieczeństwem.

Gdy sprawa zapalna przejdzie na pęcherzyki, mamy do czynienia z zapaleniem mięszu płucnego czyli z właściwym zapaleniem płuc, które stanowi chorobę poważną i prawie zawsze niebezpieczną.

Tego rodzaju sprawy zapalne, mają dwojaki charakter, a to stosownie do przebiegu. Gdy choroba rozpoczyna się raptownie i kończy wyzdrowieniem lub śmiercią w krótkim przeciągu czasu, zowią ją ostrą, w przeciwnym razie—przewlekłą (chroniczną). Nadmienić przytem należy, iż wszelkiego rodzaju sprawy zapalne ostre wcale lub też niewłaściwie leczone, przechodzą w formy przewlekłe, które zawsze oddziałują szkodliwie na ogólny stan zdrowia.

Pominąwszy to, że człowiek dotknięty tego rodzaju cierpieniem bezustannie kaszle i pluje—narażony on jest na to, że sprawa zapalna przejdzie na pęcherzyki płucne, że porażać będzie coraz nową ich ilość, to zaś ujemnie musi oddziaływać na utlenianie się krwi, a temsamem na sprawę odżywiania organizmu.

Nie na tem jednakże koniec. Tego rodzaju indywidualna narażenie są bezustannie na dostanie zaraźliwej choroby płuc, a takimi są, jak to najnowsze badania bakteriologiczne wykazały, zapalenie płuc, koklusz i gruźlica. Widzimy przeto, że dawniejszy pogląd, t. j. iż suchoty płucne rozpoczynają się zapaleniem oskrzeli, pozyskał obecnie najzupełniejszą sankcją naukową. Prawda, że przyczynia się także do tego wielce usposobienie, bądź-to dziedziczne, bądź nabyte, niemniej jednakże, kto się ustrzeże owego kataralnego zapalenia oskrzeli, albo, dostawszy go, wyleczy się dokładnie, ten ma wiele szans, że nie zapadnie na ciężką chorobę płucną.

Co do leczenia chorób płucnych, to, naszkicowawszy powyżej razem wszystkie, musielibyśmy tu wymienić przeciwko nim wszystkie środki, począwszy od ulepkę ślazowego do odkrycia Kocha, zasadzającego się na wstrzykiwaniu *tuberkuliny*. Nie chcemy jednakże narażać łaskawej cierpliwości czytelnika; zresztą przekroczyłoby to o wiele ramy zamierzonej pogawędki, gdyż środków istnieje prawie niezliczona ilość. Ograniczymy się zatem i tu do treściwego wymienienia tych, które są najpożyteczniejsze t. j. najskuteczniejsze.

Przedtem jednakże nadmienić należy, iż każdy chory na cierpienie przewodów oddechowych powinien poddać się przepisom higieny, t. j. obserwować, że tak powiemy, odpowiednią *dyetę płucną*. Zupełnie taksamo, jak choroby organów trawienia wymagają koniecznie zachowywania przepisów dyetetycznych w ścisłem znaczeniu tego słowa, taksamo w cierpieniach płuc żywić się należy odpowiednią strawą, t. j. powietrzem czystym świeżem, a więc pozbawionem kurzu i wszelkiego rodzaju bakterii chorobotwórczych, a także o właściwej temperaturze i nasyceniu parą wodną. Bez tego nic nie wskóramy, nie pomogą żadne ziółka, żadne pastylki, żadne mixtury, zupełnie taksamo, jak nie poskutkują środki wzmacniające żołądek, gdy kto przy nich zajadać będzie surowizny lub nieświeże wędliny. Są to rzeczy, które wzajemnie się wykluczają, i wykluczyć je należy bezwarunkowo. Dawno już minęły te czasy, w których chorych na płuca zamykano w nieprzewietrzanych pokojach, opalanych do niemożliwości, kutano w pierzyny i zalewano poprostu gorącymi naparami rozmaitych ziół; tak jest, czasy te minęły i to bezpowrotnie. Gdzie bowiem, proszę mi powiedzieć, sens zdrowy w podobnem postępowaniu? Chory na płuca, właśnie skutkiem choroby, posiada zmniejszoną możność oddychania i przyswajania sobie tlenu, jeżeli mu to jeszcze sztucznie zwiększymy, jeżeli zmusimy go do tego, aby oddychał temsamem powietrzem, które z siebie wytchnął, albo też które przeszło przez płuca osób doglądających go, czy też zabawiających, łatwo wyobrazić sobie, że skutkiem tego praca jego chorych płuc musi być jeszcze bardziej zwiększoną, i, że pomimo niej, nie osiągnie niezbędne-



go materiału odżywczego, będzie się poprostu dusił, po-maleńku wprawdzie, lecz w każdym razie krew nasycić się będzie zbytnią ilością kwasu węglanego. Tymczasem do wyrównania sprawy chorobowej w ogólności, a w szczególności cierpienia płuc, niezbędnym jest zdrowy materiał odżywczy, jakim jest krew dobrze utleniona, i działanie prawidłowe systemu nerwowego, który jedynie dokładnie funkcjonować może, gdy odbiera zdrowy materiał odżywczy, a ten również jest krwią dobrze utlenioną.

Widzimy zatem, że chory na płuca, zamknięty w źle odwiezranym pokoju, pozbawiony tętnem tlenem, znajduje się w jakimś *circulus viciosus*, z którego wyplatać się wcale nie łatwo, a czasami nawet niepodobna.

(Dokończenie nastąpi).

## Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż program i przepisy zamierzonej wystawy higienicznej w Petersburgu już są opracowane całkowicie i zatwierdzone przez władzę odnośną. Otwarcie nastąpi na wiosnę 1893 r.

— Ministerium komunikacji wyznaczyło komisją specjalną do wydania podręcznika technicznego budowy dróg żelaznych w Rosyi. Komisya, złożona z 35 członków objeżdża obecnie wszystkie linie tych dróg, a to, jak podają dzienniki, w celu zapoznania się z właściwościami ich budowy.

— Wystawa przemysłowo-rolnicza w Wilnie, szósta z kolei, trwała od d. 13 września przez dni dziesięć, a mieściła się na placu Katedralnym. Wejście główne wiodło wprost do obszernej rotundy, gdzie pomieszczone zostały okazy drobnego przemysłu i rękodzielnictwa, a przybrane w chwili otwarcia wystawy kwiatami i zielenią, przytem rozmieszczone gęsto, pociągały wzrok do siebie. Znaczna ilość tkanin kolorowych domowego wyrobu, nie ustępujących w dobroci maszynowemu, podnosiła efektywność tego oddziału, a okazy jedwabnictwa, nadesłane przez właściciela wsi Radziejowszczyzna, p. Mańkowskiego, jedyne na wystawie, budziły szczególnie ciekawość publiczności. Kilka drzew morwowych, trzydziestoletnich, jakich kilkaset mieściło się w sadach Radziejowszczyzny, oraz piękne wyroby jedwabne, utkane z oprędu jedwabniczego, wyprodukowanego na miejscu, pociągały ku sobie wzrok cisnącej się tu publiczności. Wystawę, która trwała po dzień 23 Września, zwiedzało dziennie więcej niż parę tysięcy osób. Oddziałów wystawy, dla której Plac Katedralny okazał się za małym i ztąd był zawsze przepełnionym, było dwanaście, a to: produkta rolnicze, ogrodnictwo i jego przetwory, produkta spożywcze, torf, oddział przemysłowy, oddział koni, bydła rogatego, owiec, nierogacizny, drobiu, pszczół i pszczelnictwa, nabię. Zgromadzono wyroby tak wsi, jak miast, świadczące dobrze o pracy i zabiegliwości wystawców. Nagród przyznano:

W oddziale koni medali złotych wielkich trzy, srebrnych wielkich dwa, mały jeden. W oddziale bydła medalów złotych 3, wielkich medali srebrnych 4, mały jeden, bronzowych 3, list pochwalny jeden. Oddział nierogacizny otrzy-

mał jeden medal srebrny mały, jeden bronzowy, listów pochwalnych dwa; oddział drobiu dwa wielkie srebrne, trzy małe srebrne, jeden bronzowy, listy pochwalne dwa. Pszczoły i pszczolnictwo: dwa wielkie medale srebrne, dwa srebrne małe, jeden bronzowy, jeden list pochwalny. Nabię pięć dyplomów na medale złote, medal srebrny wielki jeden, medali srebrnych małych dwa, bronzowych trzy, listów pochwalnych cztery. Wędliny i konserwy różne jeden medal złoty, jeden srebrny wielki, jeden mały. Produkta spożywcze dyplom na medal złoty, medal złoty jeden, srebrny duży jeden, mały dwa, bronzowy jeden. Ogrodnictwo i jego przetwory: dyplomów na medale złote cztery, wielkich medali srebrnych sześć, małe srebrne dwa, bronzowych trzy, oraz wzmianka zaszczytna jedna i pięć listów pochwalnych.

Produkta spożywcze otrzymały dyplom na medal złoty, oraz medal złoty jeden, jeden medal srebrny duży, dwa srebrne małe, jeden bronzowy. Torf dwa dyplomy na medale złote. Oddział przemysłowy: dwa medale złote, dwa dyplomy na medale złote, medali srebrnych wielkich dziewięć, małych siedmnaście, bronzowych dwadzieścia pięć, listów pochwalnych dwadzieścia, kilka nagród pieniężnych, oprócz sześćdziesięciu ośmiu nagród takich z funduszu Tow. wyścigowego od rs. 50 do 100.

— Wystawa przetworów ogrodniczych, pierwsza w mieście naszym, odbędzie się w w zimie roku bieżącego, a składać się będzie z trzech działów: owocowego, który ma zawierać wszelkie owoce suszone, kameryzowane, konfitury i kompoty, oraz wina i napoje, nalewki owocowe. Dział warzywniczy obejmie wszelkie konserwy: suszone, prasowane, marynowane. Dział kwiatowy pomiesi kwiaty zasuszone i zbiory nasion. Dla każdego z tych działów będzie wyznaczonych nagród ośm, a to: jeden dyplom zasługi, jeden wielki i jeden mały medal srebrny, dwa bronzowe i trzy listy pochwalne.

— Rada miejska dobroczynności publicznej przyjęła zapis Leopolda Wroczyńskiego: 20.000 rs. dla Warszaw. Tow. Dobroczynności, oraz Stanisława Stefanowicza: 1.000 rs. dla Schronienia Paralityków i 1.000 rs. dla Nędzy Wyjątkowej.

— Towarzystwo głuchoniemych i ociemniałych odbyło posiedzenie roczne; sprawozdanie odczytane przez zarząd wykazało 102 członków płacących 2 rs. składki rocznej. Towarzystwo posiada 6.204 rs. kapitału. Udzieloną mu była w ciągu roku zapomoga w summie 591 rs.

— Termin konkursu farmaceutycznego skończył się z d. 1 Października. Nagroda przeznaczona dla najlepszej pracy w języku polskim z zakresu farmacji praktycznej, lub historii farmacji wyznaczona jest w summie 300 rs. Ubiegać się o nią mogli jedynie farmaceuci urodzeni i zamieszkałi w Królestwie Polskiem.

— Termin konkursu na szkice pomnika Moniuszki upłynął z d. 1 Października.

— Cztery posągi: Ś-go Czesława, Ś-go Jana Kapistrona, Ś-go Szymona z Lipnicy i Ś-go Ładysława z Gielniowa, patrona Warszawy, wykute dłutem rzeźbiarza Godeckiego, zostały ustawione w niszach kościoła Ś-go Karola Boromeusza. Już poprzednio tenże artysta wykonał także do niszy kościoła Ś-go Karola dwa posągi: Ś-go Wincentego Kabłubka i Ś-go Rocha.

— Rzeźbiarz Kurzawa Antoni pracuje nad figurami Żółkowskiego i Królikowskiego w małym formacie.

— Komitet Warszaw. Tow. Sztuk Pięknych zaprosił dyrektora akademicznej szkoły Sztuk Pięknych w Berlinie Antoniego O. Wernera, na honorowego członka Towarzystwa.

— Pierwszy egzemplarz kopii z obrazu Chełmońskiego „Powrót z kościoła“ wykonanej chromolitograficznie w Paryżu na doroczne premia dla członków Tow. Sztuk Pięknych, został nadesłany komitetowi Towarzystwa.

— Album fotograficzne widoków Warszawy ukaże się wkrótce na widok publiczny.

— Krakowskie Tow. Sztuk Pięknych zakupiło do rozlosowania między członków swoich dzieł sztuki za 4.545 zł. reń.; w połowie Października nastąpi zakup drugi za summę 1.500 zł. reń. Za pośrednictwem Towarzystwa prywatni nabywcy zakupili dotąd dzieł sztuki więcej, niż za summę 1.600 zł. reń. Na doroczne premium dla członków w reprodukcji, wykonanej olejodrukami, przeznaczyło Towarzystwo bardzo wdzieczny obraz Wincentego Wodzinowskiego: „Na swojej nutę“.

— Artyści krakowscy domagają się, aby na wymalowanie kurtyny dla teatru krakowskiego rozpisany był konkurs. Kommissya budowy teatru postanowiła ogłosić konkurs na szkice, z których najlepszy da twórca swemu prawu wykonania dzieła za oznaczoną z góry summę honorarium.

— Teodor Rygier, któremu powierzona została przez odnośną kommissyę budowa pomnika Mickiewicza w rynku krakowskim, usiłuje przyspieszyć rzecz o ile można. Kommissya budowy pomnika odebrała już trzecią z kolei grupę alegoryczną, tak, że odsłonięcie pomnika całkowicie wykończonego nie przeciągnie się poza termin wyznaczony. Najspieszniej, jak się da, rozpoczęte będą roboty ogrodnicze około ogrodu placu, zajętego przez pomnik, a który tworzy regularny ośmiokąt.

— Zmarł w Krakowie uczony professor antropologii na uniwersytecie tamiejszym, Izydor Kopernicki, używający wyższej sławy naukowej w całym cywilizowanym świecie. Na kongresie antropologicznym w 1876 r. wygłosił on odczyt dowodzący, że w czasach przedhistorycznych całą Europę zamieszkiwały ludy aryjskiego pochodzenia. Jak to już doniosły dzienniki warszawskie był on członkiem Akademii Umiejętności Krakowskiej, Akademii Paryzkiej i współpracownikiem pism niemieckich, francuzkich i angielskich z tego zakresu.

— We Lwowie umarła utalentowana autorka i zacna kobieta, Walentyna z Trojanowskich Horoszkiewiczowa. Zajmując się przez lata długie nauczaniem dziewcząt w Warszawie, miała w mieście naszym wiele życzliwych sobie.

— Zamknięcie berlińskiej wystawy sztuki w d. 20 Września odbyło się bardzo uroczystie i wspaniale. Udała się ona pod względem wszelakim, bo nawet materialna strona rzeczy opłaciła się sownie, przynosząc kassie Berlińskiego Tow. Sztuk Pięknych 200 000 marek zysku.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Pogawędka. — Przeklęty ród, przez Kazimierza Glińskiego. List z Anglii przez Henryka. — Ze wspomnień pedagoga II, przez Wincentego Dawida. — Wiadomości z higieny i medycyny popularnej. Organa oddychania, przez Dr. Józefa Starkmana (dalszy ciąg). — Z bieżącej chwili.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 11-ty powieści, pod tytułem: **Drogi życia**, przez D. K. Murray'a. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**



**Stoliczek z lampą i „zasłonka.“**

Rycina Nr 23 i 44 w Bl. Nr 39.

Stoliczek złożony z białym oniksowym i z umocowaną w tymże lampą do zniżania lub podwyższania stosownie do potrzeby. „Zasłonka“ wykonana na formie z mosiężnego drutu, pokryta fałdzisto jedwabnym ponsowym materiałem, poleczonym ponsową krepą. Wierzchnia część otoczona podwójną riuszą z krepy. Dolną część ozdobi koronka biała 18 cent. szer., podłożona materiałem jedwabnym wycinanym w zęby. Kokardy z wstążki pasowej 1½ cent. szer. wykończają całość.

**Suknia z materiału angielskiego wełnianego.**

Rycina Nr 2.

Suknia z materiału wełnianego koloru brązowego z białym, ozdobiona pasmanterią wełnianą koloru brązowego, kamizelka, poły i napierśnik częścią z sukna białego, częścią z wełny w tym-kolorze.

**Ornat.**

Rycina Nr 4 i 5.

Ornat wykonany z jedwabnego i adamaszku. Przenieść należy deseni na tło z ponsowego wełnianego atłasu i wzdłuż konturów przyszywać podług zoru odpowiednie wycięte części materiału jedwabnego w kolorach: jasno i ciemno-oliwkowym, oraz jasno i ciemno-poziomkowym, następnie otaczać figury jak wskazuje ryc. Nr 6, częścią kilkoro złożoną fioletową w kolorze materiału jedwabnego oraz ciemnym złotym sznurkiem, częścią zaś sznurkiem koloru oliwkowego i białego. Wycięcia, żyłki i gałzki w kolorach ciemniejszych od materiału. Po wykończeniu roboty wyciąć materiał wycięty i aplikować, mocować sznurkiem jedwabnym.

**Plaszczyk do robót ozdobionych aplikacją.**

Rycina Nr 7. (Deseń odwr. str. tabl. Nr 12).

Koszyczek złożony z wewnątrz fałdzianym atlasem koloru ponsowego, aplikacja zaś na plusku koloru oliwkowego. Kokardy ze wstążki pasowej jedwabnej w kolorze pluszu jasnego.

**Serwetki (ścieg płaski).**

Rycina Nr 9 i 10. (Deseń odwr. str. tabl. Nr 16 i 17).

Serwetki pod talemiseczkami i t. p. wykonane na tkaninie białej lnianej i ozdobione haftem wykonanym ściąganiem płaskim. Wycięcia do prania. Po

wykończeniu haftu należy wykończyć jak następuje: Brzeg założyć na ½ cent. i ciągle naprzemian 7 ściągów przejmować na 6 nitki wysokości i 4 ścięgi na 10 nitki wysokości.

**Serwetka ozdobiona haftem.**

Rycina Nr 11. (Deseń odwr. str. tabl. Nr 18).

Serwetka 70 cent. dług. a 52 cent. szer. z grubego sukna ciemno-brązowego koloru. Po przeniesieniu deseni na sukno wykonać haft ściągami gałzkowym, rybiej łuszczyki dzierganym i krzyżowym oraz rozmaitemi pojedynczemi ozdobnemi ściągami, rozpołowioną filozelą brązowego koloru, oliwkowego, poziomkowego i popielato-niebieskiego w kilku cieniach. Po wykończeniu haftu zaopatrzyć serwetkę podszewką i brzegi sukienne wyciąć w drobne ząbki.

**Plaszczyk „Fiametta.“**

Rycina Nr 13.

Plaszczyk z materiału „brocard“ koloru fioletowego na tle jaśniejszym tegoż koloru. Ozdo-

biony wyłogami z faille tegoż koloru i frendzlą jedwabną fioletową. Kołnier „Medicis“ z brokaru. Dolna część tworzy zęby nacinane. Tylna część przystająca do figury. Kapelusz z filcu koloru popielatego ozdobiony piórami i wstążkami koloru fioletowego. Rękawiczki duńskie koloru naturalnego.

**Kaftanik „Epsom.“**

Rycina Nr 14.

Kaftanik z sukna koloru popielatego „gris tourterelle“ z baskiną w zęby nacinane i ozdobione haftem ze sznurczką złotą i zieloną. Przednie części odpowiednim ozdobione haftem i wyłogami z piór koloru ciemno-ponsowego. Spódniczka z bengaliny koloru „tourterelle“ haftowana złotem i jedwabiem zielonym otwarta z boku na części pokrytej jedwabnym materiałem „faille“ koloru ciemno-ponsowego. Rękawiczki duńskie jasne.

**Okrycie „Francesca.“**

Rycina Nr 15.

Okrycie złożone z długiego kaftanika z trzema pelerynkami z sukna koloru migdałowego, ozdobione haftem wykonanym srebrną nitką. Każda z pelerynek wycinana w zęby spiczasto na podkładzie z sukna białego i otoczona wąskim szlaczkiem z piór koloru migdałowego. Dolna część i przody kaftanika, również ozdobione haftem i wycinane w zęby na części z sukna białego. Spódniczka z materiału jedwabnego zielono-oliwkowego koloru „gris serpent“ ozdobiona haftem wykonanym jedwabiem czarnym i nitką srebrną. Kapelusz filcowy koloru kaftanika, ozdobiony tegoż koloru wstążką. Rękawiczki duńskie.

**Surducik „Donna Paz.“**

Rycina Nr 16.

Surducik z materiału jedwabnego „gros de Lyon“ koloru szafirowego, wcięty do talii, tworzy w tylnej części dwie głębokie fałdy. Bogaty haft złoty z mieszaną jedwabiu kolorowego ozdobi plecy i rękawy. Części boczne tworzą podwójną spiczastą baskinę, ozdobione odpowiednim haftem i szeroką frendzlą srebrną z imitacją drogich kamieni. Kołnier „Medicis“ ozdobiony odpowiednio. Kapelusz z filcu jasno-popielatego ozdobiony piórami i wstążką koloru szafirowego. Rękawiczki ze skórki kozłowej koloru „gris perle.“ Okrycie to może być wykonane i w innych kolorach jedwabiu lub sukna.



Nr 1. Suknia z materiału wełnianego i aksamitu. (Opis pierw. str. tabl.).

Nr 2. Suknia z materiału wełnianego angielskiego.



**Kaftanik „fin de siècle.“**

Rycina Nr 17.

Kaftanik z baskiną odcinaną z sukna koloru srebrno-popielatego. Baskina ozdobiona haftem wykonanym złotem i jedwabiem koloru blado-różowego. Stan przyozdobiony rodzajem karczka z weneckiej koronki i frędzlą z piór blado-różowych mieszanych ze złotem. Pelerynka „Jockey“ marszczona na ramionach w tylnej części zakończona spiczasto w talii. Rękawy wąskie. Spódnica koloru srebrno-popielatego, haftowana złotem i jedwabiem różowym. Kapelusz z filcu popielatego ozdobiony koronką wenecką i różową egretą. Rękawiczki koloru „gris perle.“

**Mantylka „Valois.“**

Rycina Nr 18.

Mantylka z materiału jedwabnego koloru zielonego „vert roseau“ ozdobione galonami złotymi i srebrnymi na tle „vieux rose.“ Frędzla z różnokolorowych perełek wykończa całość. Suknia z materiału jedwabnego „peau de soie“ koloru mantylki, haftowana złotem i srebrem. Kapelusz tegoż koloru ozdobiony wstążką i różową egretą; rękawiczki duńskie.

**Mantylka „Yvette.“**

Rycina Nr 19.

Mantylka z materiału wełnianego koloru „ivoire“ w deseń koloru porcelanowego. Przed-



Nr 4. Ornat (do ryc. Nr 5) aplikacja. Deseń odwr. str. tabl. Nr 1 i 2).

nia część ozdobiona podwójnym kokiliażem z tegoż materiału, podszytego „surah“ koloru porcelanowego. Cztery guziki srebrne zdobią górną część kokiliażu. Rękawy szerokie tworzą pelerynę prostą otwartą w tylnej części i ozdobione z przodu kokiliażem umocowanym czterema srebrnymi guzikami. Kołnierz „Valois“ z „surah“ koloru porcelanowego. Kapelusz w rodzaju toczka z aksamitu koloru porcelanowego haftowany złotem i turkusami. Egretta koloru porcelanowego i ivoire; rękawiczki duńskie.

**Płaszczek „Lamballe.“**

Rycina Nr 20.

Płaszczek z sukna koloru „heliotrop“, ozdobiony pasmanterią tegoż koloru z mieszaniną koloru fijołkowego. Rękawy szerokie zebrane na ramieniu pasmanteryjnym przepięciem. Szlak z piór

koloru „heliotrop“ zdobi kołnierz, rękawy i przednie części. Spódnica z bengaliny koloru heliotrop i tegoż koloru kapelusz ozdobiony wstążką i skrzydełkami. Rękawiczki duńskie.

**Kapelusz z aksamitu.**

Rycina Nr 21.

Kapelusz w rodzaju toczka wykonany z aksamitu koloru oliwkowego, otoczenie z aksamitu białego ozdobionego wypukłym haftem wykonanym jedwabiem różowym, zielonym i niebieskim. Pomiedzy figurami tło wycięte. Wstążka koloru oliwkowego i egreta z różowych piór wykończa całość.

**Koronka wykonana szydełkiem do ozdoby fartuszka Nr 24. Szerokość oryginalna.**

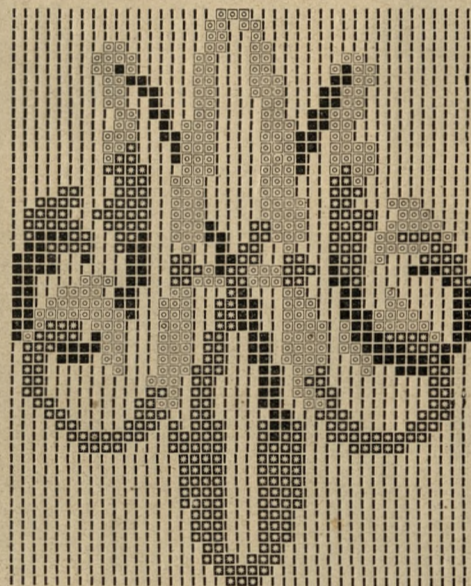
Rycina Nr 23.

Koronka wykonana krętymi nićmi. Deseń i sposób wykonania jest tak łatwy, że nie widzimy potrzeby szczegółowego opisu.

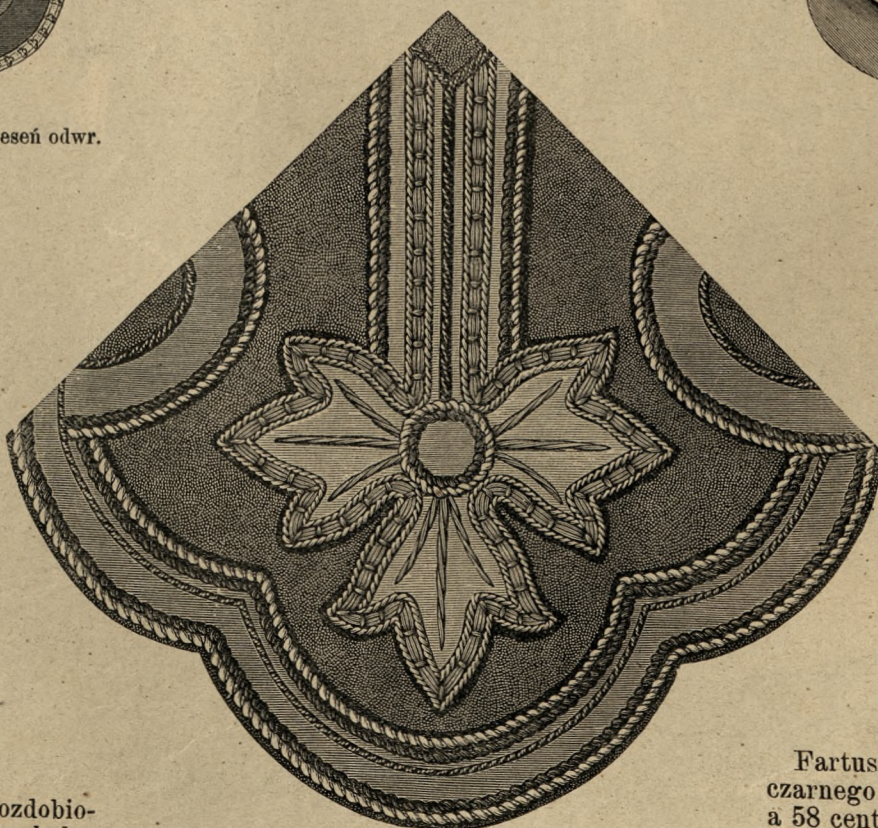
**Fartuszek z karczkiem wykonanym szydełkiem dla panienki od 10—12 lat.**

Rycina Nr 24.

Skrajać z perkalu koloru niebieskiego w żółte pasy przednią część 80 cent. wysok. i tyleż sze-



Nr 3. Litera wiązana do szlaku Nr 24 w Bl. Nr 41 (robota krzyżowa). ■ Ciemno-bronзовый, □ jasno-bronзовый, ⊕ piaskowy, ' tło.



Nr 6. Czwarta część haftu do przyborów kościelnych.

roka, Ściąć boki i zaokrąglić w sposób, ażeby górna część miała szer. 58 c., plecy zaś 56 c. szer. Po połączeniu części i obrabieniu brzegu wewnętrznego i paszek, zmarszczyć dwa razy przednią część w odległości 3 cent. od paszki na 31 c. Plecy zaś na 17 cent. i otoczyć wycięcie karczkiem wykonanym szydełkiem podłożonym na 5 c. szerokości paskiem z perkalu.

**Suknia z kaszmiru i aksamitu.**

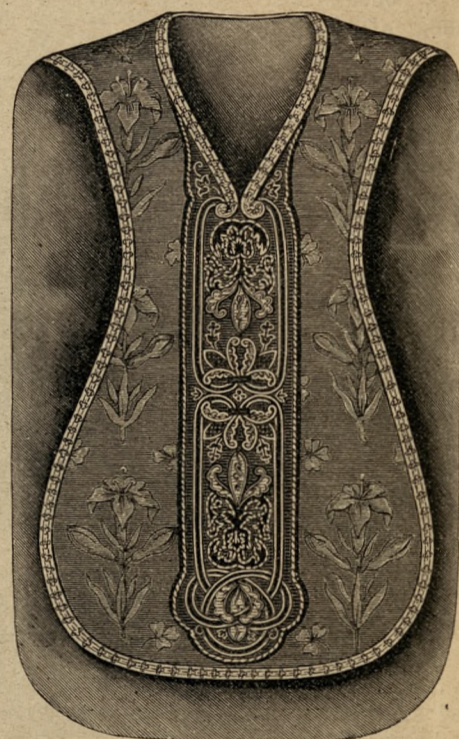
Rycina Nr 26.

Suknia z kaszmiru jasno-piaskowego, wykonana podług kroju fig. I i II dzisiejszej tablicy, należącego do ryc. Nr 20 w Bl. Nr 41. Spódnica zaopatrzona podszewką z jedwabnego materiału ozdobiona haftem maszynowym, wykonanym jedwabiem tegoż koloru. Stanik w rodzaju kaftanika z aksamitu brązowo-orzechowego, napiersznik i rękawy z kaszmiru.

**Suknia „princesse.“**

Rycina Nr 27. (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 12—15).

Suknia z materiału jedwabnego koloru czarnego w deseń lila i z materiału gładkiego lila. Wykonać zwyczajnym sposobem spódnice do ziemi z podszewki 225 c. obwodu. Przednią część pokryć materiałem lila a dolną riaszą podług ryc. Po dopełnieniu złożenia fig. 13 i 15 i przydłużeniu takowych w miarę potrzeby w kierunku strzałki skrajać z podszewki fig. 12, z materiału w deseń fig. 13—15 po dwie części i zaopatry-



Nr 5. Ornat (do ryc. Nr 4).

podszewką boczki i plecy aż do fałd, dalej zaś muslinem. Po wykonaniu w fig. 12 zaszepek małych fałdek stanik z podszewki pokryć jedwabnym plisowanym materiałem gładkim. Wycięciu umocować obydwoma na jednej kropce, zeszyć boczki i przednie części podszewki cyfr, w plecach umocować cztery lit. b i c na odpowiednich kropkach. Całość wykończyć dług ryc.

**Fartuszek z jedwabnego materiału.**

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 41.

Fartuszek z materiału jedwabnego koloru czarnego w deseń. Skrajać część 65 cent. szer. a 58 cent. szer., dolną część wyciąć w zęby boki na 12 cent. i otoczyć takowe koronką szer. 9 cent. szer., po nad koronką wązki jedwabny galonik. Górny brzeg na 26 cent. szer. uł-



w dwie kontrafaldy, każda 7 cent. szer. i otoczyć sznurkiem jedwabnym podług ryc.

### Kapelusze jesienne i zimowe.

Rycina Nr 2—9 w Bl. Nr 41.

Kapelusze filcowe rozmaitych form w kolorach: czarnym, piaskowym, popielatym, zielonym, granatowym, brązowym i ponsowym.

### Czepeczek z koronki i wstążki aksmitnej.

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 41.

Pasek z petynетки 32 centim. dług. a 2 centim. szer. obszyć drucikiem i wstążeczką, na takowym ułożyć podług ryc. zmarszczoną koronkę 8½ cent. szer. Pukle, kokarda i opasanie z wstążki aksmitnej koloru pomarańczowego 3 centim. szerokości.

### Czepeczek z „crêpe-lisse“ i wstążki.

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 41.

Foremka z petynетки ścięta nieco spiczasto z przodu 30 cent. dług., po bokach trochę zwężona, obszyta drucikiem i wstążeczką. Denko wykonane z tiulu i otoczyć różową atlasową wstążką 6 cent. szer. w sposób, ażeby na bokach ułożyć płasko, z przodu zaś ściśle namarszczoną. Przybrać podług ryc. falbanką z „crêpe-lisse“ różowego 17 centim. szerok. haftowaną jedwabiem. Przednią część zdobią pukle z różowej atlasowej wstążki 3 cent. szer. i także kokarda z prawej bocznej części z tyłu.

### Fartuszek z batystu i koronki.

Rycina Nr 18 w Bl. Nr 41.

Fartuszek z napierśnikiem z batystu białego w kolorowy desen. Skrajac część 38 cent. szer. a 100 centim. długą. Dolna część obrabiona

kokardami na ramionach z tegoż samego materiału lub ze wstążki.

### Suknia z kaszmiru gładkiego i haftowanego.

Rycina Nr 21 w Bl. Nr 41.

Suknia z kaszmiru koloru „heliotrop.“ Falbany, rękawy i napierśnik z kaszmiru tegoż koloru ozdobionego haftem.

### Suknia z materiału wełnianego gładkiego i „broché.“

Rycina Nr 23 w Bl. Nr 41.

Suknia z materiału koloru „Edisson.“ Przednia część i napierśnik w rodzaju karczka jak z tyłu tak z przodu z materiału „broché“ w tymże kolorze. Spódnica powłóczysta.

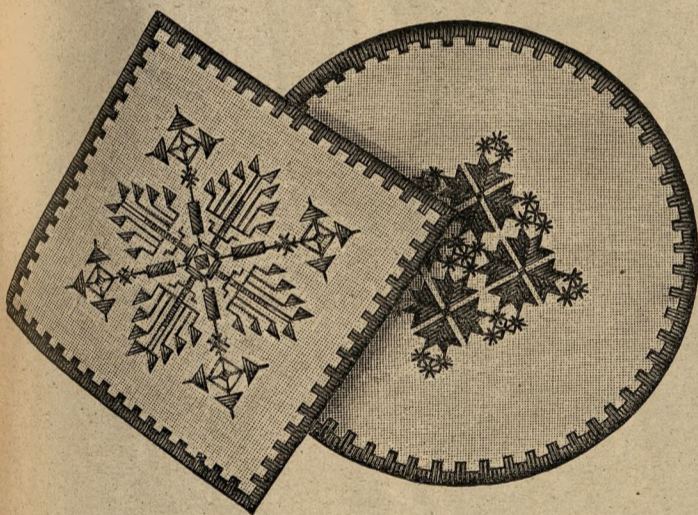


Nr 7. Koszyk do robót ozdobiony aplikacją. (Desen odwr. str. tabl. Nr 12).

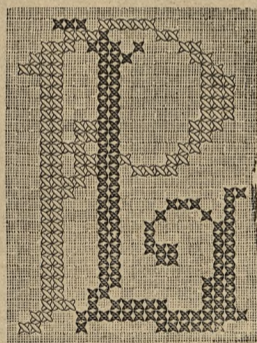
### Kaftanik bez rękawów (robota szydełkowa).

Rycina Nr 25 w Bl. Nr 41.

Kaftanik wykonany włóczką „zefir“ koloru czarnego ścięciem żeberkowym utworzonym z ściśłych oczek, otoczony jak wskazuje ryc. kilkoma kolejami wykonanymi ścięciem przezroczystym przewleczonym czarną morową wstążką 1½ cent szer., następnie kilkoma rzędami ściągów ściśłych, z których rząd ostatni stanowi ząbki. Rozpocząć od brzegu zewnętrznego na założeniu 217 oczek, na których wykonywać robotę tam i napowrót. — 1 kolej: oczko opuścić, następnie ciągle 1 ściśłe ocz. w każde ocz. — 2 kolej: 1 powietrzne ocz., potem ciągle 1 ściś. ocz. w tylną żyłkę następ. ocz. — 3 do 31 kolej jak kolej poprzednia. — Kolej 32 do 35 jak kolej 31, ale rozdzielić na dwie połowy, z których każdą tam i napowrót wykonywać a mianowicie: pozostawić nienaruszone pierwsze 50 ocz. (na pierwszą pachę) i wykonywać na następnych 58 ocz. a potem na 50 (drugą pachę) na ostatnich 58 ocz. Następnie połączyć poprzeczne brzegi 31 kolej ściśłymi ocz. od pleców ku środkowi i tymże sposobem przednie żyłki 58 ocz. ostatnich czterech kolej rozdzielić na dwie połowy. Brzeg zewnętrzny otoczyć jak następuje: — 1 kolej: ciągle naprzemian: 1 ściś. ocz. w następ. ocz., 5 pow. ocz., 1 oczko opuścić, nakoniec 3 ściś. łań. ocz. w pierwsze 3 oczka teje kolej. — 2 kolej: 1 ściś. ocz. w następ. ocz., potem ciągle naprzemian: 1 pow. ocz., 1 ściś. ocz. w następ. 5 pow. ocz., nakoniec 1 ściś. łań. ocz. w 1 ocz. teje kolej. — 3 kolej: 2 pow. ocz., potem ciągle 1 pół-słupek w następ. ocz., nakoniec 1 ściśłe łańc. ocz. w 2 pierwszych 2 pow. oczek teje kolej. — 4 kolej: 4 pow. ocz., zebrać z 3 do 1 3 oczka, 2 oczka z żyłki znajdującej się po odwrotnej stronie następ. 2 pół-słup. poprzedniej kolej. Wszystkie oczka znajdujące się na szydełku 1 oczko przeciągnąć, \* 3 pow. ocz., z 2 i z 1 z tychże 2 ocz. zebrać, 1 ocz. z powyżej przerobionych żyłek zebrać, 2 oczka z żyłek



Nr 9 i 10. Se: wetki (ściąg płaski). Desen odwr. str. tabl. Nr 16 i 17).



Nr 8. Monogram (robota krzyżowa).



Nr 11. Serweta ozdobiona haftem.

i z trzema zakładkami ¾ cent. szer. Koronkowy haftowany tiul wykończą całość podług ryc. oraz pasek i kokardy z wstążki koloru lila 3 cent. szer.

### Fartuszek z muślinu wełnianego.

Rycina Nr 19 w Bl. Nr 41.

Fartuszek z muślinu wełnianego białego w kolorowy desen. Skrajac część 52 cent. dług. a 80 centim. szerok. Dolny brzeg otoczyć falbaną 33 cent. szer. a 123 cent. obwodu. Na część górną skrzyżowaną skrajac dwie części 17 cent. szer. a 165 cent. dług. i wykończyć podług ryciny



Nr 12. Dopełnienie rycin Nr 13 — 20.

znajdujących się po odwrotnej stronie roboty następ. 2 pół słup. poprzedniej kolej. Znajdujące się oczka na szydełku 1 ocz. przerobić, od \* powtórzyć, nakoniec 1 ściś. łań. ocz. w 1 pow. oczko teje kolej. Guziczki i pentelki z czarnej włóczki do zapinania z przodu, wykończają całość.

### Dywanik przed łóżko. Haft i robota szydełk.

Ryc. Nr 28 w Bl. Nr 41. (Desen odwr. str. tabl. Nr 13).

Dywanik z bai koloru oliwkowego 100 centim. dług. a 62 cent. szerok.





Nr 13. Płaszcz „Fiametta.“

Nr 14. Kaftanik „Epsom.“

Nr 15. Okrycie „Francesca.“

Nr 16. Surduoik „Donna Paz.“

Nr 17. Kaftanik „fin de siècle.“

Nr 18. Mantylka „Valois.“

Nr 19. Mantylka „Yvette.“

Nr 20. Płaszcz „Lamballe.“

M O D Y P R Y Z K I E.

Rycina Nr 12 na stronie dzisiejszego numeru przedstawia drugą stronę ubrań tu podanych.



otoczony szlakiem haftowanym. Część środkowa naśladuje futro i wykonana jest szydełkiem podwójną nitką oliwkowego i popielatego „chiné“ koloru włóczki „zefir“ ścięciem ścisłym. Rzepcząc grubym szydełkiem na założeniu 30 oczek i wykonywać robotę tam i napowrót a a po wykończeniu przyszyć do dywanika uwzględniając ryc. Nr 28. Co do haftu takowy wykonać hamburską w łó cz k ą kolorem



Nr 22. Część tylna sukienki Nr 16 w Bl. Nr 41.



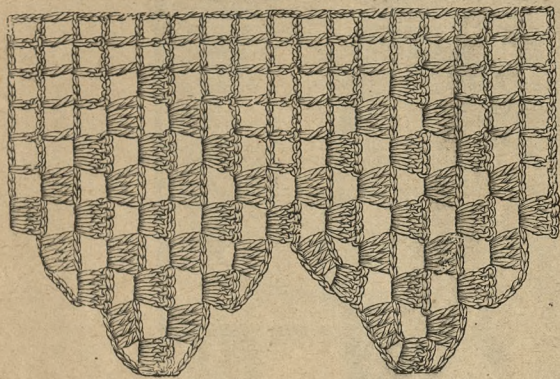
Nr 21. Kapelusz z aksamitu.



Nr 25. Spódnica do sukni Nr 27 w Bl. Nr 41. (Krój i opis pierw. str. tabl.).



Nr 24. Fartuszek dla panienki od 10 — 12 lat! (do ryc. Nr 2).



Nr 23. Koronka do fartuszka Nr 24 (szerokość oryginalna).



Nr 26. Suknia z kaszmiu i aksamitu.

niebieskim, brązowym, terracota i oliwkowym w kilku cieniach ścięciem płaskim i Janina. Pojedyncze figury otaczać japońską złotą nitką, otoczenie zaś wykonane brązową włóczką figur narożnych przetykać podwójną nitką czarnej włóczki, przejmując ścięciem obrzucanym tegoż koloru włóczką. Zaopatrzyć dywanik podszewką z grubej lnianej tkaniny.

## Przepisy gospodarskie.

**Knedle z kartoflanego ciasta ze świeżymi śliwkami.**

Ugotować kwartę mączystych kartofli, rozetrzeć je w donicy walkiem, wlać łyżkę mleka żeby były wilgotne, wbić jedno całe jajko, a jedno żółtko, gdy to wyborne utarte, dosypać pół funta najpiękniejszej przesianej mąki pszennej, zagnieść to na ciasto w donicy, uważając, aby ciasto było jak na kładzione kluski, gdyby było za gęste, dolać jeszcze łyżkę mleka lub kawałek masła. Z tego ciasta brać ręką kawałeczki, rozciągać w rękę i zawijać w każdy kawałek jedną bardzo dojrzałą śliwkę węgierkę całą bez wyjmowania pestek. Ciasta powinno być jak najcieńsza warstwa na śliwkach. Tak zrobione knedle rzuca się albo na obficie gorącą wodę w obszernym rondlu, wyjęte z wody polać gorą-

cem masłem młodem naturalnie i posypać cukrem z cynamonem kto go lubi. Można także same nadziewać mięsem jak zwyczajne pierogi, a wtedy rzucać na gorącą fryturę w rondlu. L. C.

## Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rumiana z jarzynami.
2. Paszteciki we francuzkiem cieście.
3. Polędwica z kartoflami.
4. Młode pulardy z kompotem.
5. Budyń z szodnem.

## UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krójów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.



Nr 27. Suknia formą „princesse.“ (Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 12—15).